

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Mustrwany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 1 CZERWCA 1929 ROKU

NR. 22

TREŚĆ NUMERU: Rola kobiety w reformie postępowania honorowego — *Stefanja Podhorska-Okółów*. Zagadnienie służby domowej — *Haen*. Poezje: „* * *” — *Irena Tuwim*. Zawalidroga (powieść) c. d. — *Herminja Naglerowa*. Dnie pogodne — *Halina Dąbrowska*. Twórczość Zofji Nałkowskiej — *Stefanja Podhorska-Okółów*. Hołd oswobodzicielce Francji — *Z. Zamiszanka*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *S. P. O. i H. S.* Szkło i kryształy — *J. S.* Nieco o oszczędzaniu sił — *M. Dobrowolska*. Racjonalne kurniki — *A. D.* Sztuka gotowania — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Suknia ślubna — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

ROLA KOBIETY W REFORMIE POSTĘPOWANIA HONOROWEGO

Jedną z najbardziej palących spraw naszego życia zbiorowego jest niewątpliwie sprawa szybkiej i radykalnej reformy postępowania honorowego. Tu chodzi nie tylko o pojedyncze wypadki śmierci czy kalectwa: tu chodzi o cały system, godzący w podwaliny nowoczesnej etyki i kultury. Rzecz dziwna — we wszystkich niemal objawach życia ludzkość się doskonali, dąży do ciągłej przemiany formy w imię bogactwa i rozrostu treści, która tę formę stopniowo rozsada — tylko ta jedna instytucja, instytucja pojedynku, wyrosła ze średniowiecznych sądów bożych i z ideologii rycerstwa, urąga nowoczesnemu postępowi, jest dotąd nietykalnym tabu, fetyszem, któremu potajemny kult oddają miliony.

Religia honoru! Jakże pięknie brzmiałoby to słowo, gdyby nie wiała z niego pustka, gdyby naprawdę było symbolem najwznioślejszych idei, wykładnikiem najsubtelniejszych pojęć etycznych! Ale już to samo rozpaczliwe trzymanie się pewnych, usankcjonowanych tradycją i obyczajem, formulek kodeksu honorowego dowodzi, że bóstwo opuściło sprofanowaną wielokrotnie świątynię. Na pociechę wiernym został tylko bezduszny rytuał, skorupa, której ziarno dawno już spróchniało.

Źródłem pojedynku, jako instytucji o charakterze etyczno-religijnym, była wiara w cuda, wiara w bezwzględne i natychmiastowe zwycięstwo sprawiedliwości. Pojedynek był zatem czemś w rodzaju sądu doraźnego o najwyższej, opatrnościowej sankcji. Tylko tak pojęty, miał rację bytu. Z chwilą, gdy wiara w jego nieomyślność rozwiała się — stał

się formą, pozbawioną treści, fikcją, surogatem, gorzej nawet: szalbierstwem etycznym. Zdaje się, że niema człowieka kulturalnego, któryby się nie zgodził z tem rozumowaniem.

A zatem, bądźmy konsekwentni. Precz z samozwańcem! Zdetronizować uzurpatora!

Organizują się Ligi do zwalczania niebezpiecznego wroga wewnętrznego.

I cóż się dzieje? Hasło rzucone, ale nikt go nie podjął; de facto nic się nie zmieniło. Podawnemu ludzie posyłają sobie sekundantów, mordują się w pojedynkach, uważając, że krwią jedynie zmyć można obrazę honoru.

Co ciekawsze, okazuje się, że nawet wśród szczerých zwolenników rewizji i reformy postępowania honorowego niema jednolitego frontu. Jeden obóz — to fanatycy teorii, prostolinijni ideolodzy, którzy, zdyskwalifikowawszy pojedynek, jako czyn, pozbawiony podstaw etycznych i rozumowych, sądzą, że przekreśliło go i życie. Drudzy — to ci, którzy, wyrósłszy w zwodniczych blaskach dawnego kodeksu honorowego, nie mogą wyzwolić się z pod tego, podświadomego często, prestiżu, jaki wywiera na nich pojęcie pojedynku. Zresztą, są to ludzie trzeźwo liczący się z życiem, z irracjonalizmem własnej natury.

— Cóż z tego — rozumują — że ja dziś potępię pojedynek? Jutro, gdy mnie ktoś uderzy w twarz, ja go wyzwę, muszę go wyzwać! raz, że nie wyobrażam sobie innego zlikwidowania sprawy, powtóre, że, gdybym go nie wyzwał, a obrał inną — dajmy

na to, sądową — formę zareagowania, nikt nie uwierzy w czystość moich intencji. Cała opinia będzie przeciw mnie i ci sami ludzie, którzy wraz ze mną teoretycznie zwalczały pojedynek, praktycznie ogłoszą mnie za tchórza.

„Nie wyobrażam sobie innej formy zareagowania, jak pojedynek“.

Tu, zdaje się, tkwi oś zagadnienia. Chodzi o to, żeby tę formę stworzyć. Trzeba dać człowiekowi honorowemu broń skuteczną na zwalczanie hultajstwa, a tą bronią może być tylko pełnowartościowy ekwiwalent pojedynku. Jak on będzie wyglądał, nie wiem, ale musi mieć za sobą niebywałą powagę i niewzruszone, zaiste, podstawy, aby zająć miejsce festysza, rozporządzającego jeszcze i dziś olbrzymimi zapasami siły odpornej.

Na błędnej drodze są ci, którzy sądzą, że uda im się zwalczyć pojedynek tylko drogą negatywną. Natura nie znosi próżni. Trzeba coś postawić na miejsce wyklętego banity. Chorób społecznych nie leczy się paragrafem kodeksu karnego czy honorowego, ale umiejętną i planową higieną. Sam zakaz nie wystarczy. Jeżeli nie chcemy mieć brudasów, musimy ludziom dać mydło i nauczyć ich się myć. Bez tego najwymowniejsze dyskusje na temat: „brud jest ohydą“ — pozostaną przysłowiowym grochem o ścianę.

Mieliśmy tego jaskrawy dowód na ostatnim, założycielskim zebraniu Ligi reformy postępowania honorowego, gdzie teoretyczna rozbieżność sądów ujawniła w pewnym momencie zdumiewającą zgodność odruchów zarówno u fanatycznych wrogów pojedynku, jak u jego tolerantów. Oto jeden z mówców, człowiek młody i pełen zapału, czuł się obrażonym, że jego oponent dopatrywał się w jego stanowisku „młodzieńczej egzaltacji“.

Na to oponent, chlubnie znany ze swych zasług bojowych, odpowiedział ze spokojem:

— Nigdybym nie przypuszczał, że moje określenie może kogokolwiek obrazić. Ja osobiście czułbym się bardzo zadowolony, gdyby ktoś zarzucił mi młodzieńczą egzaltację. Skoro jednak mój przedmówca czuje się tą definicją obrażony, niniejszem cofam ją i publicznie pana N. przepraszam.

Referent, bezwzględny przeciwnik pojedynków, nie omieszkiał zaopatrzyć swego stanowiska charakterystycznym komentarzem.

— Nie byłem obrażony — wyjaśnił — byłem tylko niemile urażony. Gdybym w słowach pana generała wyczuł dla siebie obrazę, inaczejbym na nią zareagował.

Ciekawam, jak? Czy czasem nie wedle utartego, powszechnie przyjętego, a tak słusznie, zresztą, potępianego szablonu? Bo zanim opracujemy nowy kodeks honorowy, zanim go społeczeństwo zaaprobuje, przyswoi go sobie i zacznie wprowadzać w życie — człowiek obrażony naprawdę znajdzie się na

rozdrożu, kiedy okoliczności zmuszą go do szukania zadośćuczynienia na drodze postępowania honorowego.

Przytoczony incydent był tylko bładą próbką tysiącznych zatargów, które tem się różnią od powyższego, że rozwiązuje je nie kultura i ideowość przeciwników, jak to miało miejsce na zebraniu Ligi, ale zawziętość, upór, fałszywa ambicja, zaślepienie namiętności. Oświecił on jednocześnie w sposób drastyczny i finezyjny zarazem zasadę t. zw. „podmiotowego pojęcia obrazy“. Dzisiaj kogoś dotknął zarzut młodości, jutro jakiś podtatusiały lowelas, albo leciwa dama, pracowicie sztukująca sfatygowane wdzięki, obrazi się za przydomek „stary“. Jest to zupełnie zgodne z psychologią ludzką. Podobno, bowiem, żadne kłamstwo tak nie boli, jak prawda...

W myśl zasad równouprawnienia, obowiązek odpowiedzialności honorowej ma być rozciągnięty i na kobiety. Słusznie zatem biorą one czynny i gorący udział w zakładaniu podwalin nowej, odrodzonej świątyni honoru. Już w przedwstępnych niejako dyskusjach nad podstawami nowego kodeksu honorowego zajęły one wybitne i zdecydowane stanowisko antypoedynkowe i jest rzeczą pewną, że stanowiska tego nie opuszczą za żadną cenę. Jest to jeden z tych wyjątkowych, a obecnie coraz częstszych wypadków, że kobieta nie tylko rezygnuje z praw, przysługujących mężczyźnie, ale chce te prawa nagiąć do swoich własnych wymagań życiowych, do swojego własnego pionu etycznego.

Rola kobiety jest tu o tyle łatwiejsza, że przystępuje ona do zagadnienia od strony teorii, w zakresie bowiem praktyki pojedynkowej jest materialem zupełnie surowym. O jej wyższości nad mężczyzną w danym wypadku decyduje młodszość jej kultury w dziedzinie postępowania honorowego.

Nikt nigdy nie wymagał od niej zadośćuczynienia z bronią w rękę; jeżeli sama wymierzała sobie w ten sposób sprawiedliwość, ciężko odpowiadała przed sądem karnym. Natomiast ileż razy ona sama była bezpośrednią a nieodpowiedzialną przyczyną krwawej rozprawy, a pośrednio stawała się stroną najciężej poszkodowaną, tracąc w pojedynku męża, brata, syna, narzeczonego, kochanka! Snobistyczne zadowolenie, płynące ze stwierdzenia rycerskich uczuć mężczyzny, który właśnie dla niej, dla ukochanej kobiety życie postawił na kartę, nie mogło się ostać wobec niewspółmierności idealizmu pobudek z budzącym grozę realizmem faktów.

W ocenie wartości natury honorowej kobieta wniesie niewątpliwie poglądy świeże, prostolinijne, niesfałszowane przesadami, nieobarcone smutnem dziedzictwem wielu pokoleń męskich, tradycyjnie hołdujących okrutnemu mołochowi pojedynku. Tu wchodzi w grę coś ważniejszego, niż uświęcona wiekami brutalność: tu wchodzi w grę jej zagrożona w swej godności kobiecość.

Kobieta chce być odpowiedzialną honorowo, jest gotowa ponosić konsekwencje swych słów i postępów, ale nie chce zarówno sama się pojedynkować, jak dozwolić mężczyźnie stawiać z bronią w ręku na mecie.

Hasło jest rzucone, walka wydana. Jeśli się zakończy zwycięstwem, będzie to nietylko jeszcze jedna cenna zdobycz na polu nowoczesnej etyki i kultury, ale dowód dojrzałości kobiety, dowód, że dorosła ona do samostanowienia o sobie.

Stefanja Podhorska-Okołów



ZAGADNIENIE SŁUŻBY DOMOWEJ

W tych dawnych, wyjątkowo nie „lepszych“ czasach, kiedy kobieta była jedynie gospodynią domu, uchodziły za humorystyczną cechę kobiecą — stereotypowe dyskursy towarzyskie na temat służącej. Z czasem wyszło to z mody i kobiety z pewną trwożliwą przesadą unikały tego roznamiętniającego przedmiotu, wmawiając w siebie, że jest to kwestja mało ważna, może nawet w istocie świadcząca o małostkowości i ciasnocie kobiecego intelektu. Sprawy te przeszły więc niejako w stadjum wewnętrznych, domowych zagadnień, ale, nie tracąc na wyrazistości i ostrości, pozostały chronicznym konfliktem, chronicznym niedomaganiem.

A właśnie dziś, mimo zasadniczej przemiany, jakiej uległo życie wewnętrzne i zewnętrzne kobiety, kwestja służby domowej odżyła aktualnie, wprawdzie bez humorystycznego nalotu, ale zato w formie ważnego zagadnienia. Nie trzeba tu zbyt szeroko objaśniać, że dzisiejszy system gospodarstwa domowego szwankuje przeważnie z powodu braku wykwalifikowanej i godnej zaufania służby żeńskiej. Jeżeli jednak kobieta „dawna“, zajmująca się wyłącznie gospodarstwem domowym, niejako stale nadzorująca pracę służącej — nie mogła dojść do ładu ze służbą domową, to dziś, gdy kobieta przeważnie pracuje zarobkowo — sprawa przedstawia się jeszcze gorzej.

Zaznaczyć tu należy, że kwestja służby domowej szwankuje nietylko u nas. To samo dzieje się także zagranicą, w kulturalnych państwach Zachodu. Wszędzie istnieje dziś w tej dziedzinie pewnego rodzaju przesilenie, jakgdyby stan anormalny. W Paryżu, gdzie służąca otrzymuje 300 — 500 fr. miesięcznie, sprawa jest już zagadnieniem równowagi budżetowej gospodarstwa domowego i panie obywają się zupełnie bez służącej, conajwyżej posiłkują się taką „femme de ménage“, co odpowiada naszej „dochodzącej“ czy „posługującej“. Ale w Paryżu i gdzieindziej na Zachodzie można było zmodyfikować system gospodarstwa domowego, ponieważ istnieją ułatwienia w wewnętrznych urządzeniach domów mieszkalnych (cie-

pła woda, centralne ogrzewanie), istnieją również dość znaczne udogodnienia w prowadzeniu kuchni, skoro w sklepach można dostać zupełnie niemal przyrządzone potrawy i t. p. Dodać tu również trzeba, że pracowitość i umiejętność podolania wielorakim zajęciom jest specjalną cechę francuzki. Niemki, nie posiadające takiej zręczności i poradności, zatrzymały poniekąd system służby domowej, ale zreformowały go o tyle, że służące są tam przeważnie „Stütze der Hausfrau“, więc inteligentne, wykwalifikowane, kształcone w specjalnych szkołach, a przez służbodawców traktowane, jako pomocnice, z pewną równością towarzyską. Takiej pomocnicy można nawet powierzyć całe gospodarstwo, można pod jej opieką zostawić dzieci.

U nas, niestety, system „popychadeł“ utrzymał się dotąd bez zmian. Zdobywa się służącą przygodnie, a choćby i za pośrednictwem owych przesławnych „biur“, które nie poczuwają się do odpowiedzialności za dostarczany „żywy towar“. Poziom etyczny i moralny tych dziewcząt „do wszystkiego“ nie może być, oczywiście, wysoki, bo taka dziewczyna, najczęściej z głodnej wiejskiej chaty wyrzucona na bruk miasta, przechodzi najrozmaitsze koleje, kształci się w takiej szkole życia, która przeważnie deprawuje. Niemniej też zawód służącej uważany jest przez hierarchicznie spokrewnione sfery za coś poniżającego, co nie wpływa dodatnio ani na samopoczucie, ani na ludzkie ambicje służącej.

I dlatego, zanim pomówimy o fachowej wartości służącej, trzeba się na chwilę zastanowić nad jej typem psychicznym. Służąca jest ponajwiększej części (o wyjątkach się nie mówi, skoro — według przyjętego paradoksu — potwierdzają regułę!) nieobłąskawionym osobnikiem ludzkim. Zewnętrzny polor, zdobyty dość szybko w mieście, wewnętrzne stępienie wobec ciągłych zmian środowiska, ocieranie się o jaki taki dobrobyt (zaczem idzie odczuwanie krzywdy społecznej: że jednym tak — drugim inaczej), nieufność do chlebobawców, którzy przecież niechętnie

wybaczają jej winy, lekceważenie służbodawców, bo stale z nimi przebywa i zna ich wady, przywary, całą tę intymność domowych spraw, a wreszcie niezaspokojone popędy życiowe — tworzą w sumie tę dziwną, mimo prymitywności, skomplikowaną, mimo służbistości, zanarchizowaną psychikę służącej. W takich warunkach, choćby nawet nie uwzględnić tu jaskrawych momentów z życia służącej, narażonej na pokusy i podszepty, demoralizowanej w niejednym domu przez męski żywioł — młoda dziewczyna stać się musi zhisteryzowanym dziwologiem, wykolejencem, zbyt często podatnym wpływom nawet zbrodniczym. Statystyka wykazuje przecież, że znaczny procent kradzieży i włamań spowodowany jest „amorami” służących, że przeważny procent dzieciobójczyń i prostytutek rekrutuje się ze służących.

Trzebaby więc posiadać duże zdolności pedagogiczne i cierpliwą wytrwałość, żeby z takiego nieszczęśliwego stworzenia, szarpanego i bitego pięściami życia — zrobić człowieka. A tymczasem żąda się od tych służących kobiet, od tych dziewcząt „do wszystkiego” — niemal ewangelicznych cnót, hartownego charakteru, niezłomnych, moralnych zasad! Rzuca się na nie kamieniem potępienia, choć nikt z nas, żyjących w normalnych warunkach nie jest bez winy!

Niewątpliwie trudno jest o wytworzenie harmonijnego współżycia z istotą, posiadającą tyle ludzkich wad i tak psychicznie zdeorganizowaną jak dzisiejszy przeciętny typ służącej. I tu właśnie mieści się źródło domowych dramatów, uciążliwych walk o prestiż i posłuch, tu wieczna obawa, że mogą się każdej chwili ujawnić instynkta, zagrażające bezpieczeństwu dzieci, albo i dorosłych domowników, zagrażające wreszcie prawu własności. Jest to poniekąd błędne koło, bo nieufność służbodawców odzywa się rykoszetem w sercu służącej. Wrogi wzajemny stosunek jest tą podstawą, na której buduje się to pożycie wśród ciągłej śledczej i chytrej obserwacji.

Jeżeli sprawę tę ująć tylko ze stanowiska psychiki — doszlibyśmy do beznadziejnych konkluzji. Okazałoby się, że w „domowym zaciszu” trwa bezustanna walka dwóch wrogich sobie czynników, dwóch odmiennych gatunków ludzkich, i że ostatecznie bezstronnemu sędziemu trudno byłoby zawyrokować o winie tej, czy drugiej strony. Ale nie jest naszym zamiarem siać trwogę i wywoływać wizje makabrycznych zmagania — zwłaszcza zmagania się dwóch kobiet,

skoro rządy w gospodarstwie domowym i rząd nad służącą sprawuje pani domu. O inną chodzi nam tu sprawę i dlatego odwróćmy smutną stronicę ludzkiej niedoli i wybaczymy na moment tym służącym dziewczętom ich wielkie i małe winy. Natomiast — przyznajmy się odrazu do własnej nieudolności, skoro nie umiałyśmy dotąd poradzić sobie z kwestją tak ważną i codzienną. Jakże mało mamy inicjatywy, jak mało talentów organizacyjnych, jeżeli w tym zakresie, który od wieków do nas wyłącznie należy, nie potrafiłyśmy wymyślić nic praktycznego, nic humanitarnego!

Wprawdzie zajął się sprawą służby domowej sejm i z tej strony należy się spodziewać pewnej reformy; ale dotyczy ona jedynie norm godzin pracy, ubezpieczenia na starość, oraz wzajemnego prawnego stosunku służbodawcy i służby. Reformy te, gdy je uchwali sejm, będą niewątpliwie zjawiskiem rewolucyjnym i zmuszą do daleko idących zmian w systemie gospodarstwa domowego. Humanitarność i demokratyczność takiej ustawy o służbie domowej nie rozwiązuje jednak całokształtu zagadnienia, nie mieści się w niej bowiem ogromnie ważna kwestja fachowości służby domowej i podniesienia jej wartości etycznej. I tu właśnie należałoby działać poza obrębem władz rządowych i sejmu, ale społecznie, z najszerszym udziałem prywatnej inicjatywy. Trzeba mianowicie jaknajszybciej pomyśleć o zakładaniu szkół zawodowych dla służby domowej, przyczem szczególną uwagę należałoby zwrócić na dobór materiału ludzkiego.

Niemniej piekącą sprawą jest też zakładanie klubów towarzyskich dla służących, gdzieby mieściły się czytelnie, gdzie godziwe rozrywki potrafiłyby zastąpić tym dziewczętom demoralizujące pokusy ulicy. Na niezbyt dalekim planie powinny się znaleźć — przytulki dla służby domowej, kolonje letnie, ucziwie zorganizowane biura pośrednictwa pracy i t. p.

Tylko tą drogą udałooby się korzystnie zreformować i do dzisiejszych warunków przystosować zagadnienie służby domowej. I właśnie dzisiejsze, pracujące kobiety, powinny się tem jaknajgorliwiej zająć, choćby tylko we własnym interesie. Z chwilą bowiem, gdy sprawa służby domowej będzie postawiona na życie, odpadnie odrazu gnębiący nas już dziś problem — przeciążenia kobiet pracą zarobkową i domową. Problem, który w swojej istocie grozi podważeniem — zdobyciom społecznym kobiet.

Haen.



IRENA TUWIM

*
*
*

Chcę w tym wierszu napisać o rzeczy bardzo nieuchwytniej,
O szczęściu zagubionem i wielkiem:
O tem, jak pan Łaszczyk z Litemskiej ulicy
Szył mi balowe pantofelki.

Pantofelki były z nerwowej mory,
Barwy atramentu nocy,
Haftowane w gwiaździste wieczory,
Nabijane brylantami rosy.

Wychodziłam z puchatego mieszkania,
Z domu, który był, jak okręt, wracający do kraju.
Okna jego błyszczały zdaleka,
Jak okrągłe, rybnie ślepia kajut.

Bardzo mnie lubili państwo Łaszczykowie,
Tacy byli zawsze weseli:
— Józek, co się gapisz? daj-no krzesło — mówili —
Przyszła pani z Bagateli.

Pachniało tam polską ciasnotą,
Dziećmi, skórą i ciepłym mlekiem.
Świat miał wtedy rok dwudziesty czwarty,
Tajemniczym był, młodym człowiekiem.

Garędziliśmy nieraz godzinę,
Częstowali mnie plackiem i karą.
Młode niebo, liryczne, jak wiersz ten,
Wieczorniało zmolna nad Warszawą.

— Na Trzech Króli będą gotowe!
... Delikatna rzecz idzie pomalu. —
Podobało się Panu Bogu,
Bym tańczyła w nich na paryskim balu.

Powracałam do domu aleją,
Nasze drzewa stały w długim szeregu.
Najszczęśliwsza i najsmutniejsza
Szłam, ostrożnie stąpając po śniegu.



HERMINJA NAGLEROWA

ZAWALIDROGA

(Powieść)

Mamusia — to różowa, wielka peonja z ogrodu, to гладkość jedwabiu, igraszka cienkich palców na białej kryzie ubranka. Byli oboje napewno. Nie trzeba było o nich myśleć, ani ich szukać, skoro byli. W odlocie rudej piłki, w jej niespodzianych podskokach, w zamierzaniu się rączek — byli, jak potrzebne powietrze.

Potem przyszła rozwlekła, plaksiwa tęsknota za ojcem. Natrętne rozpytywania odbijały się od upartych przemilczeń matki, niby piłka od twardej ściany. Aż kiedy już był prawie zapomnian o ojcu, zjawił się któregoś dnia obcy pan i pytał grubym głosem: — Czy poznajesz mnie? — Może i trochę poznawał, ale uparł się, nadąsał i odszedł w kąt za kanapę, aby zdaleka patrzeć i coś dziwnego, coś niebywałego przypominać sobie o tym panu. Obcy pan zerkał niebieskimi kulkami oczu, a matka siedziała na kanapie i tak długo szarpała różek poduszki, aż wyskubała puszyste piórko.

Franek widywał potem ojca co pewien czas. Zabierany do cukierni na rozkosze czekolady, pokrytej czubatą czapką kremu, na rozpływające się mlecznomalinowe lody, opychany lepką słodyczą ciastek — miał dla ojca bodajże wyłącznie łakociowy kult. A gdy już nastał czas rozumnych rozmów, tematów geograficzno-podróżniczych — ojciec zachwycał ogromem wiedzy. Był to mądry pan z Afryki, Azji, Polinezji, który znał ludożerców, eskimosów; wiedział, jak skalpują indjanie, jak budują chaty murzyni. Czasem można było myśleć, że był może handlarzem murzynów z Chaty Wuja Toma. Miał przecież białe, ostre zęby i srogie oczy, których trzeba się było bać.

Kiedy przed trzema laty był podczas wakacji w Kalińcach, zmienił zdanie o ojcu. Ani się go bał, ani zbytnio z nim przestawał. Puszczonej samopas, doznawał szczęścia nieograniczonej wolności. Nikt mu nie deptał po piętach, gdy włóczył się od wczesnych, jak odbłask pożaru czerwonych świtów, aż do zmierzchu, sztywniejącego, jak chłodne szkło nad szerokim obrębem świata. Franek zagarniał wszystką rozległość wsiowych spraw. Zbratał się z zapachem kosmatego siana, kędzierzawą wilgocią łąk, ze spiekotą żniwa, rozcinaną zimnemi błyskami sierpów.

Rozgrzany, spocony pośpiech, niepokój pomysłów i obojętność dla ludzi — stały się niby radosnem, szczęśliwem zdzieniem, kiedy to oczy bystrzej na dal, a ręce sięgają po wszystko, co podchodzi pod nagłą ochotę. Nikt się przecież temu nie dziwił, nikt się nie sprzeciwiał. Ojciec głaskał zawsze jednakim, trochę drwiącym uśmiechem i o nic nie pytał, ani do

niczego nie przymuszał. Dzień był, jak duży snop kwiatów polnych, które się zbiera pracowicie, aby corychlej opadły z nich niemocne i niezałowane płatki.

Nie wtedy nie obchodziła oczywista już pewność, że ojciec i matka żyją sobie zosobna. Tak właśnie było dobrze i wygodnie. Długa podróż kolejną utwierdzała tylko, że odległa przestrzeń, dzieląca rodziców, jest największą przyjemnością dla syna. Co najwyżej można było porównywać i rozumnie wnioskować, że w Kalińcach jest lepiej, niż w Warszawie.

Franek po tych pięknych wakacjach wrócił do matki z sowitym bagażem hardości i krnąbrności. Na Wilczej była przecież szara biedota, a może nawet ciasne skapstwo? Wystarczało tylko zestawić rozrzną obfitość kalinieckich bogactw z wyliczoną na ziarnka oszczędnością matczynej spiżarni, aby lekceważyć sobie to całe gospodarstwo i ten rygor, nudny od napominań.

Ale minęły dwukrotne wakacje i ojciec nie zaprosił syna do Kaliniec. Oczy, żółtkłe z rozpaczy, wypatrywały listonosza, a dobre listy śniły się nadaremnie po nocach. Nie uśmierzyły bólu wyjazdu z matką do Gdyni i na Hel. Dnie grzęzły tam w pogardliwej niechęci, niby w brudnej, przybrzeżnej wodzie. Słono i cierpko było od goryczy. Matka, aż nazbyt wesoła w towarzystwie rozkrzyczanych, kolorowych pań i natarczywie przyklepionych białospodniowych panów, śmiała się nieprzystojnie nawet do syna. Można ją było znienawidzić za wypukłość piersi, oklejonych mokrym, czarnym trykottem, za okrągłość brzucha i zaróżowione kolana.

Franek plątał się niepotrzebny po wydeptanych śladach tego wstrętnego towarzystwa. Nastroszony, parskał niegrzecznością i w ściśniętych pięściach jakgdyby zgniatał obraźliwy śmiech matki. Dla ojca miał w gardle najohydniejsze wyrazy, jakieś własne, przez siebie wymyślone obelgi. W ciężkich, groźnych przysięgach zapowiadał mu odpłatę, gdy „przyjdzie czas“. I tak nie wiedział nikt z tych wesołych i rozpustnych panów i pań, że obok ich zabaw i flirtów żagwi się płomień gniewu. Nikt zresztą nie miał ochoty podejmować rzucanej rękawicy. Mówiono co najwyżej: nieznosny chłopak, źle wychowany smarkacz — gdy doskonale rozwinięty tors Franka wpierał się między plażujących.

Nocą zato można było wymyślać najokrutniejsze czyny. Wtedy szalał Franek wśród swoich gniewnych projektów, jak Ajaks wśród trzody spłoszonych baranów. Myślał: Powiozę ich łódką i zatopię! — Myślał: Ucieknę, zgłoszę się na chłopca okrę-

towego, a potem napiszę listy do ojca i matki, napiszę: podli!

Na galerji latarni morskiej na Helu trzepnął Frankiem samobójczy dreszcz. Jeden rzut woli — wtedy matka krzyknie, jeszcze usłyszy jej krzyk. I tak właśnie dobrze, niech krzyczy, niech rozpacza! Ale ręce Franka wpiły się w barjerę i błagały szaleńca o litość.

Z takich to zmagani, rozgrywających się w samotności, z klęsk, których już nie oplakiwał, ze zwycięstw, które się okazywały nieprzydatne — trzeba było wreszcie ułożyć sobie własne zrozumienie otaczających spraw. I jakgdyby trzeba było wziąć całą winę na siebie, całe to wielkie nieszczęście tylko na siebie. Bo, czyż nie jest między ojcem i matką, niby śmiertelna obraza? Jakże więc zniknąć z tego świata? Albo, jak wzruszyć, jak stać się naprawdę ich synem? Upokarzała własna niepotrzebność i niezasłużone wydawało się nawet jedzenie, nawet ten kajet, kupowany za pieniądze matki. Wtedy jedyną pociechą były plany i marzenia o przyszłości. Bo może kiedyś będzie można i sławny, aby móc okazać czułość dla tych rąk, klejących abażury, dla jasnych pasemek brwi, warujących do późnej nocy nad figurkami, czernionymi tuszem? Może kiedyś będzie bogaty, aby okazać się obojętnym, albo nawet pobłażliwym dla ojca? Więc: dobrodziejstwo i wielkoduszność. Więc choćby i ofiarność: sam o czarnym chlebie, byle dla matki klejnoty, suknie, szum jedwabiu.

Ale wielkość przyszłości bywała tylko rojeniem nad otwartą książką, nad jakąś geometryczną figurą, nad niewiadomą w równaniu trzeciego stopnia. Gdy tymczasem matka umiała się jaskrawić młodością i weselić się nieznaniem dla syna sprawami, albo milczkiem wysmucac się czemś niewiadomem. Wtedy współczująca troska syna zdawała się bezpotrzebna i napelniała cierpkim wstydem odrzuconej ofiary.

Tumult rozmyślań, rozstrzępiony w naiwne wizje i w górną frazeologję słów — kipiał i wrzał. Aż któregoś dnia, którejś niezapamiętanej godziny rytm podzielił szaleństwo, niczem kroki, które dzielią na części ruch. Słowa, które szły bez opamiętania, sprzymierzyły się śpiewem rymów, cudem przystawania do siebie treścią i znaczeniem. Franek zaczął pisać wiersze. Szczęście objęło go, jak błękitną kulą. I odrazu ustało bez celu wędrujące sieroctwo. Franek znalazł jakby miejsce dla siebie i nogi wbiły się w rzeczywiste życie. Można już było znieść teraz każdą krzywdę, można było być dla innych niepotrzebnym, gdy się już wyczuło swoją wagę. Przeinaczyły się kształty i wrażenia, cały świat wpadał w strofę, jak w sieć.

Lecz wkrótce okazało się, że nie wszystko zamknie w sobie wiersz. Strofa umiała przecież zakłamać się w gładkości formy, a gdzieś na dnie wysilen twórczych pozostawało najszczerze, najprostsze słowo, dla którego nie było już miejsca w odmierzonem rytmie.

A ostatecznie trzeba było podzielić się na dwoje: jednocześnie czuwać nad tym szumiącym dźwiękiem wiersza i żyć w pospolitych sprawach dnia, który przecież stukotał obłoconemi buciskami i trwał zawsze, w tej swojej wielorakiej trosce. Jednocześnie obnosiło się to swoje dumne, uwieńczone czoło poety i brało się mizerne stopnie z fizyki. Jednocześnie pisało się liryk wiosenny i szło się z Adoniszem do głupich, ordynarnych dziewcząt. Jednocześnie myślało się: co mi świat i ludzie? — a podpastrywało matczyne sprawy.

Podjejrzliwie doszukiwał się brzydkich postępów w zbyt jaskrawym kolorze sukni, złych zdrad w zapachu perfum, krzywdzących zamiarów w zagłośnym śmiechu matki. Bo dla kogoż to matka tak połyskliwie-zalotnie się zbroid? Więc stawał przy niej duży, rozrosły, mocny zawalidroga, kryjąc w muskułach ochotę do walki z byle kim, kto śmiałyby się podkraść ku nieostrożnemu śmiechowi matki.

Doszukując się tajnie przyczyn, które sprawiły, że rozpękły się ślubowane węzły rodzicielskie, Franek przedewszystkiem obwiniał matkę. Ona to bezwątpienia lekkomyślnym błyskiem oczu przepiłowała miłość męża, a potem, chwiejąc się w biodrach, odeszła, zabierając syna do ciasnych pokoików warszawskiej oficyny. I jeszcze w dodatku ten haniebny traktat finansowy! Te wyznaczone ugodą pieniądze: kup synusiowi mojemu, twojemu, ale nie naszemu!

Gniew, jak piasek, zgrzytał między zębami, a niedługa chwila tych wszystkich przypomnień rozszarpywała, niczem drapieżnemi pazurami. Szedł tak obok matki, niby odważnie i sam sobie wiele wart:

— Nie bierz od ojca pieniędzy!

Odpowiedziała mu prawie niedorzecznie:

— Trzeba, abyś tam miał wszystko!

A po chwili dodała:

— Napiszesz mi stamtąd dokładnie, jak tam...

Chciał powiedzieć, przedrżniając akcentowaniem: — Teraz wcale tam nie pojedę! — Ale poco było kłamać i udawać, skoro wiedział, że nie pojechać byłoby ponad jego siły. A zresztą, może tego chce matka? Nie, doprawdy, nie ma powodu ustępować jej we wszystkim. Więc dziwne było i sprzeczne z jego wnioskowaniem, gdy matka powiedziała znowu:

— Powinieneś tam pojechać; nie należy ojcu robić przykrości, skoro tak zaprasza.



HALINA DĄBROWOLSKA

DNIE POGODNE

III.

KONFITURY

— Horpyno! Horpyno! — ktoś woła — i oto służba wnosi wielkie rybackie kosze, pełne malin. Jakże są świeże, jak mocno pachną! Nie są czerwone: różowość ich jest mdła, matowa. Jednak, jeśli się którą nieostrożnie rozgniecie, spływa z niej sok purpurowy.

Oprócz malin przynoszono też truskawki, białe i na pół rumiane.

Każdy owoc bierze się osobno w ręce, oczyszcza. Pełno małych, zielonych liszek opada na ziemię. Wróble natarczywie hałasują, rade, że tyle mają do jedzenia.

Jagodę po jagodzie macza się w spirytusie i kładzie na półmisku jedna za drugą wkoło.

Panna Stefcia znów rzuca je później na syrop gorący. W lśniących miedzianych misach smażą się długie godziny pod wielkimi lipami.

Klementyna lubi obierać porzeczki; pod palcami opadają z gron, niby korale twarde, szkliste. Zaraz ma się pełną misę sypek, niby groch, ziarn.

Gospodyni jednak mało się troszczy o porzeczki: dobre są tylko na galarety i gorsze powidła; o agrest też nikt nie dba. Noszą go wiadrami dziewczyny z ogrodu do dziei, tam czyszczą, obcinają zeschły kwiat, drylują. Będzie z niego tylko ser owocowy.

Klementyna zabiera się też do roboty. W miedzianych lśniących misach pod drzewami mięsza koralowowy syrop i smaży jagody długie godziny popołudnia.

Coraz kto inny ją zmienia przy tej pracy.

Smażenie konfitur — to niby żniwa w gospodarstwie kobiecym — wszystkie muszą coś pomóc.

To też za pannami przyszedł kuzyn i Grzegorz poeta.

Ktoreś z nich czyta Konopnicką i Knuta Ham-suna.

Leniwie poruszają się łyżki w gęstym płynie.

Kucharka krąży, wszędzie zagląda, baczy na ogień; pannom bowiem więcej w głowie flirt z kuzynem, niż konfitury.

Matka Klementyny, mijając, patrzy zdaleka, uśmiecha się i przechodzi; nie lubi ona wszelkiego zgiełku i zbiegowiska.

Pod wieczór zlewa się syrop i owoce w słoiki; dziesiątki, setki stoją: purpurowe, żółte różnobarwne galarety rzędem.

Lakiem je pieczętuje znów Stefcia, a słońce prześwietla w śliczne klejnoty koloru.

Razem ze zmierzchem coraz ciśniejszym pierścieniem otacza ogród i dom — śpiew.

Chóry różne łączą się z sobą, przeczą sobie, płynące zdaleka, jak fale zapachu i zmroku.

Lud śpiewa tam ciągle; śpiewają też ci, co wracają z pola i łąk i od pielienia. Śpiewają pogańnicze bydła — to bydło wraca.

Pierwsza idzie ociężała Kralę; jest poważna, zawsze prowadzi stado, jakby czuła, że należy się jej to pierwszeństwo, bo ma najwyższą nagrodę rasy. Nie spoufala się z resztą. Reszta krów idzie ztyłu, o parę kroków, gromadą.

Nim przywieziono Kralę — Kalina była matką stada; mniej ładna, starsza, dbała o ogół. Ryczała za temi, co się gapią, i przywoływała rozmarzone młódki; co rok rodziła zdrowe, śliczne dzieci. Jakże żałosne, krzyczące milczeniem były jej oczy, gdy zdychała na pachnącej łące, pośród wszystkich krów, ugryziona przez tarantulę!

Bydło bliżej niej porykiwało wtedy, pies pastucha wył, a Klementyna, która przyjechała wówczas z weterynarzem i garstką zainteresowanych — płakała po niej w głos. Teraz po śmierci Kaliny najpiękniejsze były jej córki: Muszka i Ważka. Bystre, nerwowe, łatwe do zwady, jednak dobre matki. One to przecież potrafiły zerwać się z łańcucha i uciekać w pole, lub w czasie zupełnego dosytu na pastwisku — ryczeć długo, rozpacznie, z pyskiem podniesionym do nieba.

Teraz, zbite u wrót podwórza, przeciskały się dziesiątki krów jedna za drugą, rozłożyste, różnobarwne, a każda z wielkim, nabrzmiałym wymieniem. Ostatnia wlekła się babka—siwa, stara krowa. Raz wraz pyskiem iskała po chudych nogach i zbierała małe owoce ostów, które czepiały się jej miękkiej sierści. Nie miała już rogów, z wieku wypadały jej zęby. Już wiele lat temu przestała dawać mleko. Dawno powinna być sprzedana na rzeź. Trzymano ją tu przecież, trochę z litości, może dla wspomnień —i tak w domu tym nie zbraknie paszy. Więc niech sobie żyje rezydentka jeszcze jedna.

Klementyna teraz stoi na ganku obok ojca; poprzez drzewa patrzy na słońce, chowające się między różowe obłoki, takie, jakie malują na oleodrukach. Promienie zachodu na wielkiej przestrzeni rozgałęziają się między chmurami i są, niby długie, ciemne palce, a kiedy uderzają w chmurę, barwią ją — i tak idą po schodach coraz dalej, szerzej — echem...

Z ponad książki podniósł teraz ojciec Klementyny oczy, przygarnął ją do siebie. Jakże rozumne i dobre jest jego spojrzenie najdroższe! Stoją obok siebie, coś sobie szepczą, och tak — bardzo się kochają.

IV. MATKA.

Matki Klementyny nie widziało się prawie nigdy za dnia w słońcu, w ogrodzie, albo przy gospodarstwie.

Jej czujny zarząd domem był do najwyższego stopnia dyskretny. Działo się według jej planów, ale jakby bez jej udziału. Matka była zawsze po za tem, co się stawało, i to jakby było dla niej charakterystyczne, że do niej należała tylko inicjatywa; wszelka realizacja dokonywała się bez niej, ona już wtedy znów była daleko nazewnątrz, czy ponad tem.

Dziećmi kierowała tak samo prawie niewidocznie, i niewiele z nimi obcując.

Matki światem był jej mały pokój na górze, nie dlatego, żeby była chora i nie mogła go opuszczać — ale że jej niewiele więcej było co potrzebne.

Mówiła często, że woli ze swojego tarasu, leżąc, oglądać ogród, niż w nim być. Że nie jest ważna zmiana widoku, lecz zmiana nastroju; dla niej oglądany codzień ten sam szmat parku i łąk był zawsze materiałem. Mówiła też czasem, że niepotrzebne są dla niej książki, ale to nie było prawdą, bo czytywała długo w noc.

Klementyna i Wanda z onieśmieniem wchodziły do pokoju matki. Wszystko tam było inne, jej właściwe i uroczyste. Do niej nie można było, jak do ojca, przyjść ze wszystkim, każdym głupstwem nudzić, być potarganą i roztargnioną; tam szło się z czemś, po coś, i zawsze przedtem poddawszy się własnej kontroli.

Zaraz naprzeciw drzwi widziało się białą ścianę, żalobnie pociętą czarnymi ramami trzech wielkich portretów. Były to fotografie dwóch synów umarłych i, wśrodku, pięcioletniej córki, najstarszej, poszarpanej przez psa. Poniżej tych obrazów stało zawsze mnóstwo kwiatów i zawieszona paliła się w nocy i w dzień czerwona lampa oliwna.

Fotel matki stał zwrócony do tych twarzy umarłych.

Klementyna czuła się zawstydzona wobec umarłych, którzy odeszli, że została. Nie знаła tego swego rodzeństwa; myślała, że przecież musieli być lepsi, skoro ich więcej kocha matka.

O dzieciach umarłych i o przyczynie smutku matki nie mówiło się nigdy.

Dla pani Marji słowa były trudne. Nie miała z dziećmi pogadanek, jak ojciec, nie uczyła ich. A przecież matka i dzieci kochały się bardzo — ile razy Klementyna i Wanda wracały z jej pokoju,

niosły w sobie zamkniętą tajemnicę uroczystą, szły wzbogacone o zadumę i o jakąś świętość, która była w pobliżu.

Tak, na codzień, w jadalnym pokoju i pośród gości, mama była bardzo cicha, biedna i nieśmiała. Mimo siwych wcześniej włosów, doktor nazywał ją „moją dziewczynką“ i przytrzymywał za rękę, gdy chciała niepewna, jak ptak, przestraszona na widok gości, uciekać do swych umarłych.

V. BASZTAN.

Plaska, żółta droga między niskimi łąkami koniczyn prowadzi na basztan. Małe główki różowych i białych koniczyn pachną. Mietlica, gdzieś niedzie wyrosła, chwije się nad ich kwitnieniem. Idzie się w smugach zachodu i w smugach zapachu. Ku basztanowi otwiera się monotonna pustka. Wszędzie, gdzie się spojrzy — szare listowie na ziemi, małe, żółte kwiatki i wielkie owoce ciemnych arbuzów. Ogromne kule, czasem potworne, jak tykwy, sterczą nad ziemią. Są ciemne, jak malachit, są podłużne, i spłaszczone, i w jasne prążki, białe. Kawonów jest rozmaitość wielka gatunków i fizjonomji. Każdy — to jakby głowa, twarz.

Równolegle do nich złącą się zagony melonów, żółtych, pachnących. Klementyna i Wanda idą basztanem, nikt tu niedba o ścieżki. Stary dziad, który pilnuje pola, drepce obok. Gdy się której z dziewczynek harbuz podoba, trąca go kijem. Oderwany, toczy się piłką zieloną. Zerwany został tylko przez ciekawość, nie był jeszcze dojrzały, nie warto go podnieść. Niech sobie leży. Kawon dobry bierze się i rzuca z góry o ziemię; pęka napół. Chciwe wargi w upale wysysają sok z purpurowego miąższu.

Dziad zrywa wielkie banie-głowy i potrząsa: jeśli chrobocą pestki, znaczy, że owoc dojrzały; wtedy rzuca go do wielkiego wora na plecach: — Będzie dobry dla stołu.

Inne kawony, niegorsze w smaku, tylko dlatego, że są wewnątrz białe, rozgnięta nogą o ziemię; niech gniją. Idą tak razem dziewczynki, dziad i jego ondulowany przez naturę pies, kundel.

Pies je trawę i czasem słucha rozmowy; staje wtedy na trzech łapach.

— Tak, i wczoraj wieczorem, jak często nocą, tu, obok basztanu, po pustem polu sunęły kopie siana; tak, jedna za drugą, idą po łące w czas księżycy — opowiadał dziad.

— Czy to złe? — filozofuje na znany temat Klementyna.

— Bóg to wie! ludzka dusza pewnie tam nie siedzi, bo jakżeby się w martwe ciało zmieniała? ale trawie także ciężko umrzeć.

— Trawie?...

— Niedawno po koszeniu jest teraz...

— Czyżby kwiaty miały dusze? — szepcze siostra do Klementyny.

STEFANJA PODHORSKA — OKOŁÓW

TWÓRCZOŚĆ ZOFJI NAŁKOWSKIEJ

Kiedy Zofja Nałkowska zaczynała pisać, kobieta polska daleka była jeszcze od całkowitego wypowiedzenia się. To, co w jej imieniu głosiła światu Kopnicka, Orzeszkowa, czy Rodziewiczówna, było równie jednostronne, jak to, co mówił o niej Prus, Sienkiewicz, Reymont, czy nawet Żeromski.

Była to zawsze kobieta, wzięta nie sama w sobie, ale rozpatrywana pod kątem interesów i spraw rodziny, społeczeństwa, narodu, doktryny historycznej, socjalnej, czy psychologicznej. Patrzone na nią i ona patrzyła na siebie z pewnej perspektywy, jak na obiekt, posłuszny tym wszystkim czcigodnym szablonom, do których naginała ją przemożna zbiorowość. Była to ciągle jeszcze romantyczna i naiwna niewolnica form i haseł, z trudem zdobywająca dla siebie prawa człowieka, z lekkomyślnością dzieła usuwająca na drugi plan swoje prawa do życia, jako kobiety.

To, co w niej było istotne, odwieczne, niezniszczalne — jej pleć, nie przyszła jeszcze do głosu, zdławiona, przyciśnięta, izolowana od rzeczywistości przypadkowymi i przemijającymi nawarstwieniami epoki, które w okresie pozytywistycznej pracy u podstaw i apostołskiej walki o zachowanie bytu narodowego traktowane były, jako naczelne, jedynie ważne i godne wysiłku całego życia. Pod nawalem pilnych spraw bieżących, wymagających natychmiastowego rozstrzygnięcia, cofała się i zamykała w sobie wydziedziczona kobiecość, wielka Zapomniana, zdegradowana do rzędu smutnych konieczności.

Zaiste, nie mogło być inaczej. Przecież te wszystkie nasze kobiety, piszące na przełomie wieku dziewiętnastego z dwudziestym, to były siłą rzeczy społecznice, z woli własnej, czy z woli ludu, z powołania, czy prawem inercji. Świadomie zamykały swój talent pod klucz robót przymusowych. Kurczyły się do skromnych rozmiarów szeregowca sprawy publicznej, której ogrom i powaga przesłaniała im wielkość obowiązków wobec samej siebie i wobec natury. Szły w pierwszych szeregach, w samozaparcu daleko prześcigając mężczyznę. I dla niego, dla człowieka przyszłości zdobywając nowe światy, nieopatrznie przekreślały siebie. Płomień ofiary przyświecał ich pracy, prześwieślał je i spalał.

W uświęconych przez nie kanonach i kategoriach życiowych i twórczych bujna indywidualność Nałkowskiej nie mogła się pomieścić. Przecież dla tamtych kobiet hasło „sztuka dla sztuki” było nieomal że bluźnierstwem. Dla Nałkowskiej stało się ono punktem wyjścia. Jej młodość zbiegła się z wiekiem przejściowym literatury polskiej i kryzysem w polskim ruchu kobiecym. Literaturę odradzał wówczas i wyzwalał

prąd neoromantyzmu; kobiety polskie, wykuwające w sobie człowieczeństwo kosztem swej płci, poczuły, że pędzą po ślepym torze i nie czas już zawracać. Były to przecież, pomimo powierzchownych doświadczeń pozytywizmu, duchowe spadkobierczynie entuzjastek, lepiące świat ideału z okruszków uludy.

Od katastrofy wewnętrznego rozłamu, zagrażającego całemu jej pokoleniu, ocalił Nałkowską wrodzony jej intelektualizm. Nienapróżno była córką uczonych. Prawo dziedziczości w kształtowaniu tej wybitnej jednostki starło się z żywiołowym pochodem nieuniknionych atawizmów. Z tego starcia wyrosło doskonale przymierze mózgu z instynktem, o wybitnej przewadze świadomości nad odruchami.

Można powiedzieć o Nałkowskiej, że przyszła na świat już gotowa, jako klasyczny typ kobiety nowoczesnej, o olimpijskiej postawie, zarówno wobec świata zewnętrznego, jak świata własnych uczuć. Nie duch ofiary jej przyświecał, ale duch panowania. Zamiast



Zofja Nałkowska,

zasady: „kobieta dla sprawy” — proklamowała hasło: „Kobieta dla siebie samej”, a raczej: „wszystko dla kobiety”.

To było coś więcej, niż równouprawnienie, o którym marzyły emancypantki: to było w pojęciu dawnego świata bezprawie, anarchja. I w jego oczach ta kobieta beznamiętna, badawcza, chłodna, kontrolująca ustawicznie swój stosunek do świata sprawdzianem autentyczności, mogła uchodzić za rewolucjonistkę. Była nią istotnie, jako antyteza przeszłości, jako śmiało, bez zastrzeżeń postawiony pewnik, że wartość kobiety nie mierzy się jej zdolnością służby, ale zdolnością brania i dawania szczęścia.

Jeżeli w pierwszych książkach Nałkowskiej można wyczuć jakąkolwiek ideologję, to jest nią ideologia rozkoszy. Antyczny hedonizm, precedzony przez filtr schyłkowości, w rezultacie musiał dać wy rafinowanie, produkt nawskroś nowoczesny, którego kłamany uśmiech nie mógł zastąpić szczerej pogańskiej pogody.

Naogół kobiety bliższe są natury i wierniejsze jej nakazom, niż mężczyźni. Nałkowską dzielił od niej mur intelektualizmu. Był on zarówno dźwignią, jak klątwą jej twórczości artystycznej. Podstępnie nęcił ją pokusą metody naukowej, a mógł zaprowadzić po linii najmniejszego oporu na bezdroża teoretycznej psychologii. Prostu była za kulturalna na to, żeby być żywiołową. Analiza zabijała w niej bezpośredniość. Nie mogąc wprost czerpać ze źródeł rzeczywistości, wybrała jedyną dostępną dla niej wówczas drogę: sięgnęła po misternie rzezany kubek estetyzmu.

Czysty sen o pięknie zmąciła z mora młodości: chorobliwa obawa przed wszystkim, co pospolite, banalne, utarte, zużyte i uznane. Zaczęło się gorączkowe szukanie nowych dreszczów, nowych linii, nieznanych dróg, świeżych form wypowiedzenia się.

Nałkowska stała się nowoczesną *précieusé*ą, segregującą zjawiska wedle ich niezwykłości i wykwinutu. Ta surowa selekcja materiału twórczego, zamaskowana zwodniczym przepychem formy, groziła zubożeniem, manierą, bankructwem. Kobiety Nałkowskiej z tego okresu są to samotne płatki, oderwane od gigantycznego kwiatu kobiecości, który dla swego istnienia potrzebuje tylko jednej rzeczy: atmosfery. Unoszą się poniekąd w próżni, nie wrosłe w żadną glebę, nie czerpiące znikąd soków, kwitnące sobie, nie komu, idące niewiadomo skąd i dokąd, irracjonalne, duchowo zwyrodniałe rośliny, sztucznie pędzone w dusznej cieplarni zbytku i estetyzmu.

Tak pojęty mikrokosmos kobiecy był równie nienaturalny i jednostronny, jak na miarę Fidjasa zakrojona rasa „siłaczek” z okresu patryjotycznego pozytywizmu. Aż na te wszystkie, mniej lub więcej krańcowe fikcje, spadła twarda dłoń wojny i zniwelowała je. Rzeczywistość, podczas pokoju tak chętnie i często wzorująca się na literaturze, w jednym momencie przerosła ją tak, jak powstający olbrzym prze-

rasta karła, z którym przed chwilą siedzieli przy jednym stole. Wojna zdarła łuskę z oczu Nałkowskiej. Ukazała jej ten dystans, jaki dzieli realne, skupione, zwarte i jednolite przeżycie od rozproszkowanego, rozłożonego na składniki, rozszczepionego na tysiączne włókna, preparatu literatury. Wojna prawem kontrastu nauczyła ją, że warsztatem pracy artystycznej nie może być prosektorjum, w którym twórca bada tajniki życia na trupach. Trzeba dotknąć ziemi, trzeba samemu stać się żywą komórką, pulsującą częścią wielkiego organizmu wszechświata, aby mieć prawo zapładniania rzeczywistości, tworzenia życia w sztuce.

Świadectwem przełomu, aktem detronizacji dawnych bogów, zapowiedzią nowego kultu jest „Hrabia Emil”. Serdeczne, rzewne, pełne współczucia, choć niepozabawione krytycznego spojrzenia, misternie wyczelowane epitafium na grobie pięknoduchów. Umarł Gustaw, choć Konrad jeszcze się nie narodził. Zeszedł bezpotomnie ostatni przedstawiciel rasy ludzi bez kręgosłupa, beznadziejnie rozkochany w sile, jak może być tylko człowiek słaby, który wie, że nigdy jej nie będzie posiadał — nawet w miłości szukający surogatów siły, a ginący przy zetknięciu z nią, tak jak truteń ginie w miłosnym uścisku królowej pszczoł.

Rzecz ciekawa — hrabia Emil jest jeszcze tak do szpiku kości przeanalizowany, że wkońcu zatracą się wrażenie, czyją on jest właściwie ofiarą: siebie samego, czy metody, stosowanej przez autorkę. System wszechstronnego prześwietlania obiektu, poddanego badaniu, wyjąłowił go niemal ze wszystkich cech indywidualnych, uczynił go zjawą, człowiekiem bez cienia, mgławicą, wciągana kolejno w orbitę coraz to innych, samodzielnych istnień, krążących drogami własnego przeznaczenia. Rozpatrywany pod tym kątem, Emil jest ideałem bierności i eteryczności. Nie ma gruntu pod nogami, posiada tylko tło i otoczenie. Nie może się zdobyć na to, żeby zacząć żyć, walczyć i zdobywać, — pierwszą próbę w tym kierunku przypłaci śmiercią.

Natomiast otaczające go postacie są mocno postawione na ziemi. W kreślonych pewną ręką ich sylwetkach nie znać już młodzieńczej pogoni za „piękną linią”, występują zato znamiona zbliżającej się dojrzałości: troska o rzeczowość, sumienna konstrukcja, żyłka autentyczności.

Owocem tej, aż do ascetyzmu opanowanej pasji studjowania człowieka będą „Charaktery”, arcydzieło precyzji i uproszczenia środków. Tylko ci, którym nieobce są tajniki rzemiosła literackiego, mogą zdać sobie sprawę z ogromu pracy i materiału, jaki włożono w tę drobną książeczkę.

Nałkowska porównała kiedyś swoją metodę twórczą do rzeźby: z wielkiego bloku odlupuje, odrzuca wszystko to, co nie jest w utworze potrzebne. Dla wykucia swych „Charakterów” zużyła niewątpliwie całą kopalnię marmuru; z samych odpadków można ulepić od biedy kilka powieści. To dobrowolne

wyrzeczenie się było zadokumentowaniem odniesionego nad sobą zwycięstwa, stwierdzeniem i triumfem siły. Trzeba mieć bowiem pełną świadomość swego bogactwa, żeby chcieć olśnić świat szatą pozornego ubóstwa.

„Dom nad łąkami” jest jakby jeneralną próbą tej metody. „Romans Teresy Hennert” jest wszystkich, dotąd ukrytych w niej, możliwości wspaniałą rozbudową. Ferment, jaki przechodziło i przechodzi wciąż jeszcze społeczeństwo powojenne, zakrzepł tu w odlewie bez pęknięć, rys i załamań. Moment stawania się pochwycony jest na gorącym uczynku i utrwalony w formie nawskroś dynamicznej. Książka roi się od ludzi i sytuacji żywych; wszystko w niej jest w ruchu, jak w prawidłowo działającym organizmie. Za lat sto, ktoś, pragnący wnikać w życie polskie na przełomie lat 1920—25, będzie musiał przestudjować tę książkę, jako dokument historyczny. W perspektywie czasu nie straci ona napewno nic na swojej świeżości; kto wie, czy nie pogłębia się jej światła i cienie.

Tajemnica kobiecości, to czarodziejskie zwierciadło, w którym Nałkowska przeglądała się z egoistycznym nieco upodobaniem w swych pierwszych utworach, — nie przestaje nęcić jej i teraz, tak jak nęci przepaść bez dna. Zgłębić tę otchłań, zmierzyć ją nie martwą podziałką naukowego eksperymentu, ale żywym rytmem tętna ludzkiego, wypełnić technieniem artyzmu — oto pokusa, godna nie tylko wielkiego talentu, ale i wielkiego serca.

„Choucas” — to znowu kobiety, a chociaż większość ich to liście, oderwane od drzewa, skazane na powolną śmierć — jakże mocno wrosła z nich każda w glebę własnego ukochania! Jeżeli o pierwszych kobietach Nałkowskiej można było powiedzieć, że wychodzą znikąd i dają niewiedomo dokąd i poco, to o

tych wiemy napewno, że wyrosły z wielkiego bólu i idą w nieskończoność.

Idea braterstwa ludów i wiecznego pokoju, zszargana na rynkach dyplomatycznych całego świata, tu, załamana w pryzmacie duszy kobiecej, otrzymuje stygmat męczeństwa i świętości. To nie apostołstwo, nie propaganda, nie ciasne społecznikostwo — to raczej artystyczne przekreślenie granic nieuchwytną linią horyzontu, która dla wszystkich narodów i epok jest linią zetknięcia się ziemi z niebem.

Egocentryczność duszy kobiecej, sprowadzającej cały świat do jednego ogniska miłości, oto oś, około której obraca się akcja ostatniej powieści Nałkowskiej: „Niedobra miłość”. Szczegółowy rozbiór tej prześlicznej książki podaliśmy kilka miesięcy temu w „Bluszczu”. Jest ona nowym etapem w ustalaniu się uczuciowego stosunku autorki do zjawisk życia z jednej strony, w opanowywaniu przez nią rzeczywistości — z drugiej.

* * *

Twórczość Nałkowskiej na swojej drodze rozwojowej zatacza ciekawą parabolę. Pierwotny kierunek tego olśniewającego dysku, z młodzieńczą brawurą wyrzuconego prosto w twarz słońcu, zmieniło nieubłagane prawo ciążenia. Nałkowska, zrazu chłodna, obojętna, niedostępna wobec swoich tematów i ludzi, traktująca ich z nonszalancją mózgowca — zaczyna zwolna, ale stale ulegać powszechnej sile przyciągania. Obok mózgu i instynktu, tych dwu pierwotnych składników jej twórczości, zjawia się jako motor — serce. Ono zalało żywą krwią wszystkie luki, szczyby, braki jej utworów; ono pozwoliło jej osiągnąć tę istotną dojrzałość duchową, która ponad kulturą intelektualną stawia kulturę dobroci, a w człowieku każe widzieć nie tylko przedmiot ciekawego eksperymentu artystycznego, ale brata swego w wieczności.

Z. ZAWISZANKA

HOŁD OSWOBODZICIELCE FRANCJI

Pięciowiecze Joanny d'Arc rozpoczęło się dla Francji już w lutym, obchodami w Vaucouleurs — na pierwszym etapie pochodu Joanny — i w Chinon, gdzie zjednała od razu króla dla swojej misji. Wszędzie, gdzie stąpiła niegdyś, wmurowywano tablice pamiątkowe — i ten łańcuch utrwalonych obchodów, zwany „drogą kamieni”, ciągnąć się będzie, za pewne, od grodu do grodu, od wsi do wsi, aż po 30.V 1931 r. Lecz punktem centralnym olbrzymiego jubileuszu są uroczystości orleańskie w dniach 7, 8 i 9 maja.

Już 6-go wieczorem pociągi natłoczone, dworzec pełny, na ulicach trudno się przecisnąć; conaj-

mniej 20.000 przybyszów gości stare, pocziwe miasto. Wszędzie, wszędzie dekoracje, obfite, pomysłowe, naiwne nieraz — wszystkie domy trzepocą chorągiewkami różnokolorowymi, lecz przeważają barwy starodawne Orleanu: ponsowa i żółta. A od zmierzchu, przez 3 noce, jaśnieją ulice łukami lampek elektrycznych, bogatą iluminacją okien, fasad; na głównym placu Martroi płonie ogromny napis „Jehanne”, a powódź światła czyni brązowy Jej pomnik lśniąco białym...

Nazajutrz, od świtu, dzwony, dzwony — jakieś inne, niż wszędzie, jakby upojone — dzwony wielkiego święta — raz na lat sto...

Katedra rozmodlona od rana do wieczora serją uroczystych nabożeństw, całą pompą kościelną — dźwięczy nutami kantat, patosem „panegiryków“ pachnie do oszołomienia pękami bzu.

Popołudniu, na ratuszu, oficjalna recepcja delegatów miast „joannicznych“ (przez które Ona przechodziła) oraz obcych — więc wciskam się nieśmiało, a legitymacja dziennikarska i list polecający od paryskiego syndykatu prasy robią swoje. Chwila jest uroczysta, coś jakby intymna inauguracja obchodu — mer miasta wita delegację, a później, kolejno, na jego ręce, składają hołd „Córce Boga“ reprezentanci: Paryża, Belgji, Ameryki, nawet Anglii!...

Dowiaduję się z przerażeniem, że z Polski niema, prócz mnie, nikogo — więc trudno: trzeba!...

I oto podnoszę drżący trochę głos, w kilku zdaniach zaznaczając, że i my mamy pewne moralne prawa do cudnej patronki walk o wolność — kończę okrzykiem na cześć wiernego Orleanu... Mimo usterek językowych i tremy — widzę sympatyczny oddźwięk w tem poważnem audytorjum; przedstawiają mi się, ściskają dłonie, dziękują za przy-

bycie. Potem idziemy wszyscy razem przed katedrę, na której stopniach oczekuje już imponujące półkole prałatów: 54 biskupów, 6 kardynałów i sam Legat papieski. Przepych szat pontyfikalnych w oślepiającym świetle reflektorów i znowu ta fala dzwonów!... Wedle starego obyczaju mer wręcza teraz orleańskiemu biskupowi symboliczny sztandar świętej Joanny — megafon powtarza ich przemowy — a przez cały ten czas obie wieże świątyni płoną wspalaniami ogniami tak czerwono, jakby to był pożar.

Niezapomniany moment ogromnego skupienia...

8-go maja rano, mimo złośliwej słoty, rzesze publiczności witają na dworcu Prezydenta Republiki. Wita go na progu katedry kler i wszyscy wysłuchują mszy solennej. Stamtąd rozwija się „pochód pamiątkowy“, który od wieków, corocznie, w dzień uwolnienia Orleanu, dąży za rzekę Loarę, gdzie stał fort, zdobyty przez Joannę 7.V 1429 r. i przechodzi trzy razy przez plac Martroi. Dziś, w pięciowiecze, jest to wielki hołd Francji całej, u stóp pomnika, owianego dymami z 4 ogromnych kadzielnic.

Idą najpierw władze lokalne, mnóstwo różnych stowarzyszeń, szkół, federacji — weterani, inwalidi, orkiestry, delegacje miast krajowych i obcych, franko-belgijska liga „Dwóch Sióstr“ — potem popularni wodzowie, marszałek Pétain, generał Gouraud, Prezydent i rząd Republiki, oklaskiwany gorąco; Akademia, ambasada angielska. Za nią malowniczy orszak książąt Kościoła, fiolety i purpura — a wśród nich liczne grupki dziewcząt w bieli, z welonami i wianuszkami, jak do Komunii św. — dużo dzieci z sierocińców i chórów kościelnych: nawet pięciolatki maszerują poważnie, wytrwale, z przejęciem.

Jakież to byłby widok, gdyby nie ponura, ponad wszystkim, czerń parasoli! Ale nastrój zostaje, porywa, rozgrzewa i jednoczy. Popołudniu sama armja składa hołd przed statua, w obliczu falujących tłumów ludu — i huczą nad miastem eskadry lotnicze...

Odczułam w tych dniach niezapomnianych jedno najistotniejsze: szczerzy, zbiorowy poryw czci dla Wielkości — i wstyd mi było i żal wielki, że tam, gdzie stawił się z pokłonem dawny wróg świętej Dziewicy — nas brakowało.

Mniejsza już o kurtuazję sprzymierzeńca — lecz jeśli prawda, że razem z duszami ludzkimi rozszerza się granice Ojczyzny — to byłibyśmy je znakomicie powiększyli!

Przez 7 i 8 maja, dnie kulminacyjne „joannicznego“ obchodu, był Orlean jakby w gorączce — nawet 9.V stał się jeszcze przedłużeniem święta.

Cały męski skauting Francji i pokrewne drużyny żeńskie („Guides“) składały hołd Joannie d'Arc



Pomnik Joanny d'Arc w Orleanie.



Uroczysty pochód z katedry w Orleanie.

na placu Martroi. Sprawnie łamiące się szeregi — wieniec zielonych sztandarów, skłonionych wokół pomnika i młode dłonie, wyciągnięte do przysięgi — to wszystko dawało wrażenie bardziej przejmujące, niż pompa oficjalnej defilady. To przyszłość ślubowała Dziewicy Francji, że będzie wierna jej ideom!...

Tegoż dnia rozwinęły się nam przed oczyma w imponującym pochodzie (1200 autentycznych kostiumów) wszystkie dzielnice kraju, starodawne jego cechy rzemieślnicze, wreszcie armja, od średniowiecza, po dnie dzisiejsze. Tu zwracał uwagę tradycyjny orszak Joanny i ona sama, na siwym rumaku, w białym pancerzu; zaszczyt przedstawiania tej postaci dziedziczny jest pono w rodzinie bohaterki — tym razem przypadł prześlicznej dziewczynie!

Szło dalej rycerstwo, w stal zakute, z pióropuszymi na szyszakach, barwne stroje giermków i łuczników — potem rajtarja, szpady, ogromne kapelusze i długie loki — XVII i XVIII wiek — sankiuloci rewolucji, srogi żołnierz Napoleona... Za nimi wojsko 1870 r., oddziały kolonjalne, triumfatorzy wielkiej wojny — i dzisiejsi przedstawiciele wszystkich rodzajów broni francuskiej. Tłumy, szalejące z entuzjazmu, bramują szlak tego korowodu, zalewają falą plac za rzeką, gdzie się odbywa wielki turniej średniowieczny.

Większość „pielgrzymów“ odjechała nocą. Na jutro miasto ostyga, powoli, powoli — można się już rozejrzeć spokojniej. I aż dziw bierze, że ten Orlean XX wieku tyle zachował charakteru z czasów Joanny... Prastara dzielnica wokół katedry wciąż jeszcze tętni życiem — i nie trzeba wcale szukać charakterystycznych zaułków z XV w., bo one są wszędzie... wciskają się między paradne, współczesne ulice, tak że się to wszystko nowe wydaje sztucz-

nym nalotem. Przedziwne, naiwne nazwy tych wąziutkich uliczek — załomy murów, uwieńczone kiściami bzu... i jakby okna w nich, otwarte na niebieską wstęgę Loary...

Wszędzie pamiątki: na ulicy Bourgogne wmurowana wysoka tablica: tu oto wznosiła się brama, przez którą, przed 5-ciu wiekami, weszła Oswobodzicielka. Opodał, w prywatnym ogrodzie, ostatnia, ocalała z dawnych fortów grodzkich, wieża, służy dziś za mieszkanie... W ciekawym muzeum historycznym — jedyna przypuszczalna podobizna św. Joanny: główka, rzeźbiona w kamieniu, odkryta wśród wykopalisk z owych czasów. Szlachetne dziewczęce rysy pod hełmem — ale niewiadomo, czy to właśnie Ona? niewiadomo...

Na ulicy „du Tabour“ — muzeum, poświęcone wyłącznie Jej pamięci. Biedne muzeum, które nie posiada ani jednego autentycznego wizerunku, ani jednego przedmiotu, którego by dotknęła Jej ręka! Największy klejnot — to dwa maleńkie medaliki, noszone w 1429 r. przez żołnierzy Dziewicy: widać jeszcze na nich zatartą płaskorzeźbę delikatnej główki, kontur obciętych włosów... Pozatem — to tylko



Posąg Joanny d'Arc w muzeum Orleańskim.

zbiór dowodów i przejawów kultu, przelicznych, przeróżnionych.

Kilka kroków dalej — dzisiejszy klasztor Dominikanek, to dom niegdyś skarbnika Boucher'a, który gościł Joannę od 29.IV do 10.V 1429 r. Fasada, z drzewa i kamienia, została ta sama. Oto bruk podwórka, po którym Ona stapała... szczątki kamiennego kominka, o który może oparła się kiedy?... A na górze, gdzie sypiała podobno (dzisiejsza kaplica), zachowały się ówczesne sufity i boazerje. Ze zgrozą dowiadujemy się, że magistrat zniszczył częściowo ten dom, dla rozszerzenia ulicy, w 1909 r., „aby auta mogły przejeżdżać...”.

Doprawdy, trudno pojąć: to samo miasto, które teraz tyle uczyniło dla uświetnienia jubileuszu!... Ogromnym nakładem zrekonstruowano nawet bastylę, zdobytą niegdyś przez Joannę, dawny most, prowadzący do niej — a uszkodzono rozmyślnie budynki, Jej obecnością uświęcony!!...

Wiele jest w tej sprawie faktów niezrozumiałych: np., czemu, po śmierci Joanny, która miała przecie wiernych, mimo wszystko, zwolenników, nie przechowano ani cząstki Jej zbroi, miecza, szat, żadnego sprzętu, z domów, w których mieszkała — ni nawet świętego sztandaru, którego jeno symboliczną reprodukcję obnosi się dziś po procesjach?... I jakieś dziwne jest w tem zrządzenie, że nie dotrwał ni jeden z licznych, podobno, portretów...

Zostało samo pojęcie bezcielesne — idea — duch wiecznotrwały.

Orlean, 9.V 1929 r.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI:

„Rozum i głupstwo“ — komedia w 3 aktach Włodzimierza Perzyńskiego. reżyserja K. Borowskiego, dekoracje St. Słowińskiego.

Pragnienie macierzyństwa u kobiety jest objawem powszechnie znanym, literacko i życiowo wielokrotnie użytym i nadużywanym. Tęsknota ojcostwa u mężczyzny, również naturalna, choć może nie tak często i silnie zaakcentowana, jak u kobiety, zazwyczaj i w życiu i w literaturze była pomijana. A jednak to tkwiące w każdej istocie ludzkiej podświadome pragnienie uwiecznienia się za wszelką cenę, stanowi problemat psychologiczny, którego umiejętne wyzyskanie w sztuce teatralnej może dać cały szereg sytuacji świeżych, niebanalnych, otworzyć nowe źródła wzruszeń artystycznych, rzucić subtelne światło na najskrytsze drgnienia duszy ludzkiej.

Perzyński w swoim „Rozumie i głupstwie“ dotknął się tej żyły złota, błysnął nam w oczy okruciami szlachetnego metalu, ale jakby zniechęcony trudnościami eksploatacji, cofnął się na utarty szlak łatwych i płytkich powikłań komedjowych.

To, co nam Oborski opowiada o sobie w pierwszym akcie, jest nieśmiałą i niezręczną ekspozycją czegoś, co się nigdy nie stanie. Autor czuje się nieswojo na obcym terenie, a brak mu siły woli, aby się przełamać, żyć się z trudnym bądź co bądź tematem, pogłębić go i dać światu nową zdobycz o odmiennym, niż dotąd, obliczu.

Ten Perzyński z pierwszego aktu jest jakiś dziwnie zdezerjentowany, skradający się do swego tematu, jak zakochany sztubak, i, zaiste, jest to miłość nieszczęśliwa. A szko-



Mila Kamińska w roli pani Oborskiej.

da! bo Perzyńskiego stać na coś więcej, niż na nudne, bądź co bądź, dIALOGOWANIE w pierwszym akcie, a żywy, chwilami aż farsowy kalejdoskop sytuacji w dwóch następnych.

„Si la vieillesse savait, si la jeunesse pouvait!“ — o tę starą, jak świat, a przetransponowaną nieco zasadę potykamy się co krok w tej komedji. Bo, zaiste, starość nie tu nie wie, a młodość nie na to poradzić nie może. I nie gorszymy się bynajmniej, że genialne głupstwo młodości zwycięża, a fikcyjny rozum starych bankrutuje z kretesem.

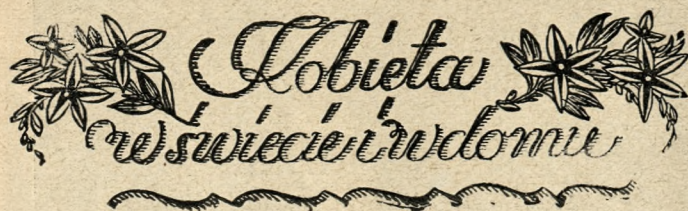
Ale czy o to chodziło autorowi? Czyż nie miał raczej zamiaru owego — śmiesznego może czasem, ale jakże prawdziwego! — Oborskiego uczynić wzruszającym bohaterem swojej komedji? A tymczasem wszystko to, co z nim wyrabia przez całe dwa dalsze akty — zamiast zbliżyć, oddala go od nas o cały dystans kretynizmu, głupoty, groteskowości.

Oborski z pierwszego aktu maluje samego siebie w następnych, ze stanowiska ciekawego typu psychologicznego schodzi do rzędu karykury, robiąc miejsce całej galerji postaci, skreślonych z tą świetną rutyną literacką, która, wrznięta po trzeby, udaje inwencję, ale jej zastąpić nie może.

Perzyński zmarnował temat niewłaściwą techniką. Ujął go zrazu za poważnie, za lirycznie, a potem starał się powetować czas stracony, doganiając sytuację w trochę jarmarczonym galopie.

Sztuka była wyreżyserowana i grana nierówno. Stanisławski od początku do końca utrzymał linię jednolitą. Romanówna doskonale ujęła typ energicznej studentki, z tupetem rozpychającej się lokciami w życiu. Daczyński był dość gapiowaty, jak na młodego artystę, ale za mało interesujący, jak na ulubieńca kobiet.

S. P. O.



ZEBRANIE ZAŁOŻYCIELSKIE LIGI REFORMY POSTĘPOWANIA HONOROWEGO.

W dn. 23 maja w lokalu Koła Prawników odbyło się zebranie założycielskie Ligi, na które przybyło liczne grono osób zaproszonych, z przeważającą liczbą kobiet.

Już sama ilość uczestników świadczyła o żywym zainteresowaniu ogółu sprawami reformy postępowania honorowego; podczas toczących się obrad zainteresowanie to wzrosło do rozmiarów żywej polemiki, świadczącej o ostrych różnicach poglądów wśród członków komitetu organizacyjnego.

Po zagajeniu i wyborze prezydium zebrania, w którego skład weszli: p. Jan Gumiński, podprokurator Sądu Najwyższego, jako przewodniczący, panie: Nalkowska-Gorzechowska i Sas-Kulczycka oraz generał Stanisław Skrzyński, jako asesorzy — p. Firstenberg odczytał sprawozdanie z działalności Komitetu Organizacyjnego, obrazujące przebieg dotychczasowych prac i oddźwięk, jaki znalazły one w społeczeństwie i prasie, przyczem podkreślono żywy udział „Bluszczu”, który w szeregu artykułów oświecił sprawę reformy postępowania honorowego.

Rzeczowy, sumiennie opracowany referat sędziego Antoniego Olbromskiego, p. t. „Podstawy racjonalnego postępowania honorowego”, zawierał ostrą krytykę dotychczasowych, zakrzepłych w tradycyjnej formalistyce, norm, a przede wszystkim zmierzał do wykazania niemoralności i irracjonalności pojedynku.

W referacie „Problem równouprawnienia honorowego kobiet” pani Bujak-Boguska stwierdziła, że kobieta dzisiaj, równouprawniona z mężczyzną, sama potrafi bronić swego honoru, bez uciekania się pod opiekę dawnego pana i władcy.

Referat sędziego Olbromskiego, szczególnie proponowane przez mówcę rezolucje, wywołały żywe sprzeczki i namiętną dyskusję, w której wzięli udział: generał Skrzyński, p. Suski, mecenas Niedzielski, pani Strzelecka, sędzia Kowalski i inni. Większość mówców licytowała się wzajemnie w doprowadzaniu też swoich przeciwników do absurdu.

Nie brakło i momentów komicznych, np. w interpretacji t. zw. podmiotowego odczuwania obrazy. W atmosferze wysokiego napięcia zebranie przeciągnęło się do późna i nie doszło do żadnych konkretnych wniosków, ale wyłoniło szereg zagadnień, które napewno w pracach komisji staną się orzechem trudnym do zgryzienia.

Na zakończenie dokonano wyborów do zarządu i komisji rewizyjnej z pośród wybitnych przedstawicieli społeczeństwa.

S. P. O.

MANIFESTACYJNY CZYN LEKAREK ANGIELSKICH

Donosiliśmy swego czasu, że — przed rokiem mniej więcej — sześć klinik szpitalnych, należących do uniwersytetu londyńskiego, zamknęło swe podwoje przed studentkami medycyny, odbywającymi w tych klinikach praktykę lekarską. Dotychczas ta sprawa nie została wyklarowana dostatecznie, aczkolwiek medycyki londyńskie nie szczędzą trudu, ani wysiłków, by odwojować swe prawa.

Naczelny lekarz szpitala w Westminster, sir Stewart, ze zdaniem którego liczą się powszechnie, zagadnięty w tej sprawie, miał orzec z niezmaconym spokojem, że miejsca ustępują-

cych praktykantek w szpitalach z wielkim powodzeniem zostaną zajęte przez studentów-medyków...albowiem kobiety, studjujące medycynę, porzucają swój fach z chwilą wyjścia za mąż.

Przyczyna cokolwiek naiwna, wobec znanej powszechnie liczebnej przewagi płci słabej w państwie brytyjskim i faktu, że zaledwie trzecia część studentek wszystkich wyższych uczelni w Anglii ma wogóle jakiekolwiek bądź szanse do zamążpójścia.

Dziś medycyki londyńskie będą miały ogromne poparcie swej sprawy w osobie pani Winifred Cullis, która została powołana na stanowisko wice-prezesa senatu uniwersytetu londyńskiego. Jest to pierwszy wypadek przyznania kobiecie tak wysokiej godności uniwersyteckiej.

Tymczasem, wielką manifestacją angielskich, przeciwko wyrokowi senatu uniwersyteckiego było otwarcie własnego, bogatego we wszystkie zdobycze techniki wyposażonego szpitala — Anderson Hospital — przeznaczonego wyłącznie dla kobiet i dzieci, który obsługiwany będzie wyłącznie tylko przez lekarzy-kobiety.

Ciekawem zjawiskiem jest fakt, że Anderson Hospital, jako wzorowy szpitalik dla dzieci, został założony przed 65-ciu laty przez pierwszą kobietę-doktora w Anglii. Od tej chwili, rok po roku, krok za krokiem, wraz z ewolucją ruchu kobiecego w państwie brytyjskim, rozszerzał się i rozbudowywał, subsydjowany wyłącznie przez dobrowolne zapisy i składki zamożnych cór Albjonu.

Dziś wielkie to dzieło zostało ukończone. Otwarcia szpitala dokonała królowa Marja, której imieniem zostało ochrzczone lewe skrzydło szpitala — the Queen Mary Wing. H. S.

ZNAKOMITY PISARZ ANIELSKI — JAKO WRÓG KOBIET.

Jest nim wybitny powieściopisarz angielski G. Wells, odznaczający się często dziwaczniemi pomysłami.

Dokoła ostatniej jego rozprawy, ujmującej problematykę kobiety bardzo ujemnie — rozgorzała na łamach pism londyńskich zacięta polemika.

Pewne pismo feministyczne zarzuca wręcz Wellsowi, że jego „kobieta-wstręt” wynika, zapewne, z wielkiego osobistego zawodu miłosnego...

Przeciwnicy równouprawnienia kobiety skorzystali z twierdzeń pisarza i używają ich, jako nowych argumentów przeciwko emancypacji kobiet wogóle, czego sam Wells, zacięty socjalista, prawdopodobnie bynajmniej nie pragnął. Występuje on przeciwko przywilejom płci pięknej, nie zaś przeciw jej prawom.

Na czem więc polegają zarzuty znakomitego pisarza?

Autor, nie przebierając w słowach, dowodzi, że kobieta jest, wogóle, istotą bez mózgu i że tylko słabości męzeczyny zawdzięcza swe stanowisko w społeczeństwie. To mężczyzna zromantyzował ją w swej wyobraźni, by dać ujście swej tęsknocie za pięknem w życiu!

Według Wellsa, absurdem jest upierać się przy twierdzeniu, że kobieta może być natchnieniem w twórczości artystycznej! Dalej, niemniejszym nonsensem jest wynoszenie piękności kobiety pod względem fizycznym. Może niegdyś istniały kobiety naprawdę piękne — ale dziś? Czyż można być tak nie-mądrym i uważać kobiety nowoczesne za istoty piękne? Gdy odbierze się im szminkę, puder i barwne szmatki — nie zostanie nic z urody dzisiejszej Ewy! Nie posiada ona bowiem ani pięknego ciała, ani serca, ani mózgu, ani najmniejszych zdolności!!

Nawet „legendę” o miłości macierzyńskiej uważa ten zacięty wróg kobiet za wyssaną z palca!!

Powyzsza przesadna opinia angielskiego pisarza o kobietach — spotkała się z surową odprawą zarówno w obozie kobiecym, jak i męskim.



Najstarszej formy okrągłe szklanki, jak baryłki, są też w użyciu...

SZKŁO I KRYSTAŁY

Wyjątkowej wspaniałości dodaje nakryciu piękne szkło i blask połyskujących w świetle elektrycznym, bogato rżniętych kryształów, bez względu na ich styl i epokę; w dziedzinie bowiem szkła moda przyjmuje obecnie wszystko, co uświetnia stronę zewnętrzną stołu biesiadnego. Od wspaniałe rżniętych w gwiazdki, grubych kryształów z końca osiemnastego stulecia, aż do wysokich kieliszków na cienkich nóżkach, dodających lekkości ich kształtom — wszystko jest modne i używane. Formy dzbanków i karafek, modernizując się, nabrały wdzięku i elegancji.

W odmianach szklanego nakrycia, będącego u szczytu mody i wykwintu, spotykamy wszelkie wzory — od najstarszych, okrągłych, jak baryłki, szklanek, aż do fantastycznych, mieniających się opalowo na cienkich, wysokich łożyskach, kielichów.

Dawniejszy serwis szklany składał się z wielkiej ilości conajmniej pięciu różnej wielkości kieliszków na osobę, ustawianych szeregiem przed każdym talerzem; taki rodzaj nakrycia spotyka się obecnie tylko na wspaniałych przyjęciach, ogólnie używany jest tylko jeden kieliszek, wielkości dawnych kieliszków do czerwonego wina, który napelnia się białem lub czerwonym winem do połowy, ażeby nie uronić nic z jego aromatu. W czasie, kiedy szampa należał do zbytków, podawanych jedynie przy deserze, używano do niego kieliszków płaskich, w kształcie miseczek na wysokich nóżkach; dziś, przy zdemokratyzowaniu tego doskonałego wina, po-

daje się je często od początku obiadu, a nalewa w wysokie kieliszki, węższe od dołu, rozszerzone ku górze, na grubych, jak postumenci, nóżkach; albo w małe, wąskie u dna i wydłużone szklaneczki; obydwa te rodzaje z niebardzo dawnej przeszłości wracają do mody.

Komplet szkła na dwanaście osób składa się teraz z 52 sztuk, a mianowicie: z czterech karafek (dwie do wody — dwie do wina), dwunastu dużych i dwunastu małych kieliszków, dwunastu szklanek i dwunastu szklaneczek. Przy zwykłym nakryciu karafki stawia się dwie: jedna z wodą, druga z lekkim stołowem winem, na końcach stołu. Przy większych przyjęciach rozmieszcza się je co drugie nakrycie, czyli wodę i wino mianego; trzeba zatem, nabywając garnitur, dokupić odrazu nadliczbowe dwie karafki każdego rodzaju: do wina trochę mniejsze, o wąskich szyjkach, do wody — szersze; albo, zamiast karafek, dzbanki. Specjalne kieliszki kolorowe do wina reńskiego kupuje się osobno i podaje tylko wrazie potrzeby.

Dopełniają garnitur salaterki kryształowe, albo naśladujące stare krystały; także talerzyki w formie półksiężyców, dostawiane do talerzy, na sałatę lub kompot; okrągły półmisek, składający się z czterech zestawianych ze sobą części, przeznaczony na przekąski i stawiany na środku stołu tak, aby każdy z łatwością mógł sięgnąć po wybraną część: masielniczka, solniczki, salaterka na nóżce i miseczki do konfitur, w kształcie czarek, pozatem rozmaite



Kryształowy kosz, napełniony różnokolorowymi kwiatami ze szkła, jest najmodniejszym przybraniem stołu

drobiazgi, potrzebne na wygodnie i kulturalnie nakrytym stole.

Do wykwintnych przedmiotów ze szkła należą rżnięte salaterki kryształowe o dwóch kondygnacjach: do owoców, cukierków i lodów. Te ostatnie podaje się zamrożone w kształcie owoców różnych kolorów i smaków. Ułożone na twardych liściach, ślicznie wyglądają, a iskrząca się tysiącem światel, jakby brylantowa podstawa dodaje im jeszcze uroku.

Nietylko do użytku, ale i do ozdoby szkło odgrywa dziś pierwszorzędną rolę: pięknie rżnięte koszki, napełnione różnokolorowymi szklanymi kwiatami na giętkich łożkach — zdobią środek stołu, a rozmaitych kształtów wazoni i kubki, o wytwornym rysunku, dopełniają jego przybrania.

Harmonia linii, nadająca cechę elegancji najskromniejszym nawet serwisom i zwyczaj używania tylko jednego kieliszka — pozwala korzystać z tego, co posiadamy, a nie przechowywać ogromnej ilości zbędnych przedmiotów, wyjmowanych z ukrycia zaledwie parę razy do roku na „wielkie przyjęcia”.

I tu dają się odczuć wyraźnie zalety dzisiejszych czasów: praktyczność, prostota i — oszczędność. Przyznać trzeba, że przynoszą nam one wiele dobrego, choćby ucząc nas korzystać z tego, co piękne i miłe — na codzień, dla siebie, a nietylko na efekt, dla pokazania się „od gości”.

Przy kupowaniu szkła, wobec dużej jego różnorodności, największą trudność stanowi wybór. Najpiękniejsze, ale i najdroższe naturalnie, są prawdziwe, rżnięte z jednej bryły, kryształy. Cena ich jest tak wysoka, że kto ich nie odziedziczył po przodkach, nie może sobie dziś na nie pozwolić. O wiele tańsze są doskonale imitacje kryształów, albo również rżnięte gładkie szkło. Z tych rodzajów mamy skromniejsze, nie dające tak bardzo modnych po-

lysków, ale zato fanie, imitacje z lanego szkła; niebrzydkie nawet, ale ciężkie, łatwo pękające w gorącej wodzie przy myciu i tak, jak wszelkie liche naśladownictwa — w złym guście, bo pozujące na coś, czem nie są. Lepiej zadowolnić się skromniejszym garniturem, harmonizującym z fajansowym nakryciem, na przykład szkłem o barwach opalowych, lub tańszem od niego, tak zwanem dymionem.

Do bardzo wykwintnych garniturów należą także szkła rżnięte gładkie. Ich niezrównana przezroczystość, wykwintna elegancja kształtów i prostota w dobrym smaku — czynią je bardzo poszukiwanymi; niestety, wysoka cena nie udostępnia ich nabycia. Do ostatnich, ale niegustownych nowości należą szkła, ozdobione rysunkami geometrycznymi i kolorowe korki do karafek. Podobne wzory spotyka się też złożone; są jednak droższe od poprzednich i nie tak bardzo modne.

Wkońcu, trudno pominąć czarki najnowszych pomysłów, na nóżkach kolorowych, o formach kulinarnych, nie tyle ładnych, ile niewygodnych, szklanka bowiem, przeznaczona do picia, powinna być okrągła, a nie dziwacznych kształtów. Prędko zapełnią z widowni, nie odniósłszy celu: wprowadzenia nowej mody, a tem samem napełnienia kieszeni ich pomysłowych wynalazców.

Jakiegokolwiek jest szkło, które posiadamy, trzeba umieć dostosować je do rodzaju nakrycia, a wrażenie, niem wywołane, rozłożyć na większe i mniej-



Gdzie niema elektryczności, oświecla się stół kryształowymi lichtarzami starego kształtu

sze przyjęcia. W przyjęciach na kilkanaście osób moda każe umieścić w środku stołu tackę lustrzaną, na której ustawiona pod świecznikiem kryształowa salaterka, napełniona owocami, wywołuje wspólny efekt. Wrazie braku elektryczności, oświetlamy stół szklanymi lichtarzami starych kształtów.

Eleganckie nakrycie obiadowe na kilkanaście osób uświetni kryształowy wazon, napełniony kwiatami szklanymi, ustawiony na lustrzanym podłożu; obrus fantazyjny, ozdobiony koronkami lub haftem, dopełni strojnego nakrycia w lżejszym stylu. Skromny obiad, w małym gronie dobrych znajomych, obejdzie się bez wyszukanych wymysłów mody. Zwyczajne nakrycie, urozmaicone kilkoma lśnjącymi szklanymi kwiatkami w fantazyjnych wazonikach — wystarczy do swobodnego, przyjacielskiego nastroju.

Wedle zarządzeń królowej-mody wszelkie szklane ozdoby cieszą się niezmiernym wzięciem; naturalnie, przedmioty stare, o szlachetnych cechach swego pochodzenia, są bardzo poszukiwane; przeszukajmy troskliwie nasze zabytki — napewno w każdym domu znajdą się graczki napozór nieużyteczne, które, zastosowane pomysłowo, będą stanowiły ozdobę naszego stołu.

J. S.

NIECO O OSZCZĘDZANIU SIŁ

Nietylko higieniczne warunki pracy sprzyjają zaoszczędzaniu sił, równoznacznych ze zdrowiem, ale nadewszystko umiejętne i racjonalne ich zużytkowanie. Bieganie z kąta w kąt domu w poszukiwaniu czegoś, co nie zostało położone na miejscu, dreptanie po każdy drobiazg, do wykonania pracy potrzebny — nietylko zużywają nieprodukcyjnie wiele czasu, ale denerwują i zjadają masę sił. Chcąc te siły oszczędzić i mądrze wykorzystać, należy mieć całkowitą świadomość wartości tych sił i troskliwie je pielęgnować. Nie jest to równoznaczne z opuszczaniem lub zaniedbywaniem obowiązków w obawie przemęczenia, nie oznacza to próżnowania ze strachu przed utratą tych sił. To znaczy: tak wszystko celowo do pracy przygotować, aby spełniać ją wygodnie i możliwie lekko.

Miejscem w domu, w którym się spełnia maksimum domowej pracy, jest kuchnia. Kuchnia — to dotychczas najbardziej zaniedbany u nas zakątek domowego ogniska. Podczas kiedy na Zachodzie i w Ameryce — to chluba każdej pani domu, u nas jest to miejsce, którego się nikomu nie pokazuje: albo panuje tam nieład, albo też niema co pokazywać.

Ciemne, małe pokoiki o kamiennej posadzce —

to typ kuchni w starych domach, nawet przy wielu pokojach. Pół biedy jeszcze, jeżeli tam nie mieszka służąca. W nowszych domach kuchnia bywa większa i ma co najmniej niszę do spania dla służącej. Zupełnie nowe domy zwracają na to już staranniejszą uwagę.

Oglądając jednak wiele mieszkań w nowych domach, widziałam pod tym względem curiosa. Przy wielopokojowym mieszkaniu z dużą, widną kuchnią o podłodze z desek, ze spiżarnią, zrobiono śliczny, spory służbowy pokój. Jednak w domu tym, o kilku jednakowych lokalach, tylko w jednym zostawiono stan powyższy. W innych zamurowano drzwi, przydzielając pokój służbowy do innych pokoi, a dla służącej przerobiono spiżarnię na niszę do spania.

W innym domu — przy czterech pokojach superluksusowych — nie znaleziono miejsca na pokój służbowy, robiąc w kuchni niską, ciemną niszę, której ani przewietrzyć ani oświetlić nie można.

Gdzieindziej znów ładna kuchnia, zaopatrzona w różne wygodne szafy w murach, paki na węgle i wyrzut dośmiec — miała tak, jak i służbowy, okna wysoko w górę, przez które widać było tylko niebo. Kiedy zwróciłam uwagę na to, że okien tych nie można normalnie otwierać, chyba po drabinie, nie umiano mi wytłumaczyć pobudek, dla których były w tak więzienny sposób budowane. Natomiast jedna starsza pani orzekła, że to wyborny pomysł, bo „sługa nie będzie mogła wyglądać na podwórze“.

Wszystko to dowodzi lekceważenia warunków zdrowotnych kuchni i sił osób, w niej pracujących. Bo czy pracę w kuchni będzie spełniała służąca, czy sama pani — nie umniejsza to doniosłego znaczenia kuchni dla zdrowia wszystkich domowników. Udogodnić zatem pracę w kuchni — to oszczędzić wszystkim zdrowia i sił.

Słusznie więc bardzo zrobiły nasze organizacje kobiece, zwracając baczną uwagę na urządzenie kuchni i propagując „unowocześnienie“ starych kuchni.

Oglądając na Zachodzie, a także w wielu czasopismach francuskich, amerykańskich, angielskich i niemieckich, a nawet widząc na filmie te precydnice urządzone kuchnie — ze smutkiem musimy westchnąć, pytając: kiedy my choć trochę upodobnimy do nich nasze domy?!

Kuchnia powinna być widna, zaopatrzona w łatwo otwierające się okna, możliwie tak zbudowane, żeby można było dokonywać i górnej wentylacji, ułatwiającej szybki odpływ zepsutego powietrza i napływ świeżego. Wszystko powinno być w niej tak urządzone, żeby dało maksimum wygody i celowości. Nie mając nawet wzorowej, nowoczesnej kuchni, w każdej trzeba umieścić tylko to, co odpowiada jej istotnemu przeznaczeniu. Wszystko powinno być tak rozmieszczone i urządzone, żeby pozwalało celowo zużytkować czas i siły.

Sprzęty muszą być proste, bez ozdób, celowo ustawione i obmyślane. Podlegać tu może dyskusji system jednej lub paru szaf kuchennych. Jedna płaska szafa, zawierająca naczynia, garnki, małą spiżarnię — ma ten plus, że zabiera mało miejsca, natomiast trzeba do niej biegać bezustannie. W dużej kuchni wygodniej jest mieć parę małych szaf, każda o specjalnem przeznaczeniu, przyczem główną rolę przy oszczędzaniu sił gra celowe rozmieszczenie tych szaf. Szafa z garnkami powinna być blisko kotliny i wanny do zmywania. Szafa z naczyniami — blisko drzwi, przez które ma być to naczynie noszone. Szafy powinny być płaskie, żeby zabierały jaknajmniej miejsca.

Stół podręczny musi stać w odległości 1 metra od kotliny. Jeżeli bowiem ta odległość wynosi 3 metry, to na przebycie jej zużywa się rocznie 220 godzin. Przy odległości zaś 1 metra zużywamy 70 godzin. Zaoszczędzamy tedy 150 godzin.

Nad stołem znajdować się powinna mała szafka na produkty, które nie podlegają zepsuciu.

Są to zasadnicze postulaty.

Pozatem ważną rolę w zaoszczędzaniu sił gra należyte wentylowanie i oświetlenie. Doskonała jest wentylacja górna. Światła dziennego nigdy nie może być za dużo. Wieczorem — lampy na blokach nad stołem i kotliną, które ułatwiają wykonywanie wszelkiego rodzaju prac.

Ważną niezmiernie rzeczą przy spełnianiu prac domowych jest siedzenie przy pracy. Błędem jest mniemanie, że wszelkie czynności należy wykonywać stojąc. Ten system jest bardzo szkodliwy dla zdrowia. Stanie przy praniu wyczerpuje mięśnie ramion, karku i pleców. Od ciągłego stania powstają różnorodne cierpienia nóg. Żadna pozycja nie jest tak szkodliwa i niebezpieczna dla zdrowia, jak pozycja zgięta. Zapobiec temu może system niskich stołów, krzeseł i ławek, dostosowanych do prasowania, krajania mięsa, obierania i krajania jarzyn w pozycji siedzącej.

Na wszystkie powyżej przytoczone zasady zwraca się baczna uwagę na Zachodzie, gdzie wobec braku i drożyzny służby domowej, pani domu musi często sama wykonywać wszystkie czynności gospodarcze i godzić je często z pracą zarobkową. Wtedy wartość czasu i sił nabiera podwójnego znaczenia.

Wspominaliśmy już w poprzednim artykule, jak ważną rzeczą przy oszczędzaniu czasu jest racjonalne rozplanowanie mieszkania. Rzeczą równorzędnego znaczenia są umiejętne pauzy, robione w pracy kilkakrotnie w ciągu dnia. Należy się wówczas kłaść w pozycji płaskiej, z zamkniętymi oczami. Dalej trzeba robić głębokie oddychanie i umiarkowane ćwiczenia fizyczne. W święto należy pomyśleć o gruntownym wypoczynku i o przerwie

w pracy latem, pamiętając, że psuje się każda maszyna, o ile się jej odpowiednio nie konserwuje.

Im trudniejsze są warunki życia pani domu, tem bardziej powinna ona cenić wartość swych sił, potrzebnych dla całego jej otoczenia, i wymagać ich poszanowania. Powinniśmy w dzieci wpajać zrozumienie wartości i oszczędzania sił, nie tylko własnych, ale i cudzych. Zwalczać w nich takie częste „posługiwanie” się kimś: służbą, matką, młodszem rodzeństwem. Nie pozwalać dzwonić na służbę o byle co, np. o podanie czegoś, co leży w tym samym pokoju, przyzwyczajając do porządkowania rzeczy i zabawek, żeby dziecko zrozumiało, ile to wymaga czasu i wysiłku.

Naturalnie, że dla oszczędzania sił własnych i cudzych potrzeba różnorodnych pomocy gospodarskich, a także tak mało spotykanej u nas, niestety, systematyczności i porządku. *M. Dobrowolska,*

RACJONALNE KURNIKI

Gdy jeszcze parę lat temu z pogardą patrzyliśmy na ptactwo domowe, uważając za zupełną stratę czasu zastanawianie się nad jego pomieszczeniem i bytowaniem, dziś już do innego doszliśmy przekonania, widząc, jaką — nie powiem „poważną”, ale bardzo pomocną w gospodarstwie — gałęzią jest hodowla drobiu. Zrozumienie to zawdzięczamy prawdopodobnie zagranicy, szczególnie Anglii i Francji, gdzie każdy nawet drobny gospodarz hoduje paręset, a często nawet parę tysięcy sztuk rocznie. Tam mięso kurze stoi na pierwszym miejscu, jest najwięcej upragnioną, lubianą i najczęstszą potrawą, zarówno na stołach bogaczy, jak i uboższej ludności, a jajka są najgłówniejszem, podstawowem pożywieniem.

Jeżeli kurę racjonalnie odżywimy, damy jej pomieszczenie wygodne, do jej potrzeb zastosowane, możemy liczyć z pewnością na korzyści. Mała ilość kur (do 30 sztuk) opłacić się nie może, dostarczy nam zaledwie mięsa i jaj na użytek domowy; dopiero ponad tę liczbę trzymany drób da nam towar eksportowy. Spożywanie drobiu jest u nas bardzo jeszcze słabo rozwinięte, tak że często nawet specjalne tuczenie przynosi więcej strat, niż korzyści; przeciwnie: produkcja jaj, jako towaru eksportowego, pożądanego zarówno zagranicą, jak i w kraju — opłaca się bezwarunkowo.

Dobrze byłoby, gdyby odpowiednie czynniki zatroszczyły się o to, aby jaja sprzedawane mogły być na wagę, nie na ilość; zyski nasze podniosłyby się wtedy znacznie. Tylko kury, dobrze odżywiane, dają jajka duże, a różnica w wielkości, w stosunku do wagi, jest następująca: jaja normalne — czy to

na targu, czy w sklepach kupowane — ważą 22—25 szt. — 1 kg., gdy np. jaj moich kur idzie na 1 kg. tylko 17 sztuk, a więc na 1 kg. jest różnica 6-ciu jaj. Mój odbiorca uznaje rację moich dowodzeń i płaci mi zawsze o 2 gr. drożej na jajku, ale pomimo to pozostaje jeszcze duża luka do wypełnienia. Sześć jaj, licząc choćby tylko po 15 gr., czynią 90 gr. straty na 1 kg.

Dziś chcę pomówić o odpowiednich pomieszczeniach dla kur. Stawiając nowy budynek, musimy starać się budować go celowo, inaczej szkoda naszych kosztów i roboty. Pominę tu opis kurnika w gospodarstwie zawodowo-hodowlanem, bo tam zwracać należy uwagę na wiele rzeczy takich, o których w zwykłym gospodarstwie wcale się nie myśli. Tam muszą być przewidziane osobne zupełnie pomieszczenia dla kilku ras, osobne na wylęgarnie naturalne i sztuczne, wychów młodego zupełnie i starszego już pokolenia i wiele jeszcze innych. Prowadzący taką hodowlę musi mieć już doświadczenie w tej dziedzinie i wie najlepiej sam, co dla jego wychowanków będzie najlepsze.

W zwykłych naszych gospodarstwach, tak zwanych „dworskich“, znajduje się zawsze jakaś ubiczka koło kuchni, czy też sama kuchnia czeladnia, w której kury jaja wysiadują i pierwsze dni, czy tygodnie z wylęgniętymi kurczętami przesiadują. Dopiero, gdy kwoka nanowo nieść się zaczyna i stadko swoje opuszcza, przenosimy je już do kurnika, o ile ten kurnik jest możliwy do przyjęcia takich młodych i bardzo delikatnych jeszcze istot. Wiele kłopotu ma każda gospodyni ze swemi wychowankami, jeżeli nie ma gdzie bezpiecznie ich umieścić.

Doskonale przypominam sobie własne początki na polu hodowli: kurnik, bylejak sklecony, ażurowy ze wszystkich stron, a izba młodego drobiu pełna szurzących dziur; co noc popłoch między nasiadkami i kwokami, co rano parę świeżych trupów na podłodze lub kalek z odgryzionymi dzióbkami lub nogami! Nie było wtedy innej rady, jak zawieszenie u pułapu na długich sznurach dużych koszy, do których się wieczorem chowało młodzię. Tam przynajmniej czuła się bezpieczną, a ja mniej strat po-

nosiłam; ale ile te codzienne zabiegi, włożenie i wyłożenie rano z koszy paruset stworzonek, czasu i sił kosztowało, chyba nietrudno sobie wyobrazić!

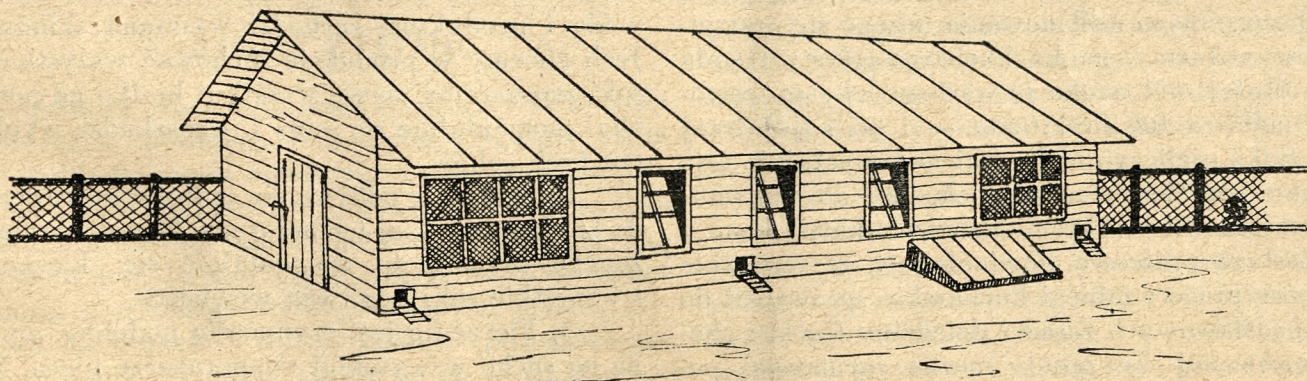
Najlepsze są kurniki drewniane o podwójnych ścianach, przesypanych suchym miałem torfowym (który uważam za najlepszy, gdyż zabezpiecza od lęgnięcia się myszy), od wewnątrz otynkowane. Stawiając ściany, dobrze będzie, jeżeli górną deskę słabo przytwierdzimy, aby ją móc po pewnym czasie z łatwością odjąć dla dosypania torfu, który się po upływie kilku tygodni uleży i wgórze pozostanie luka. Podłoga — to ziarno niezgody hodowców. Najwięcej zalecaną jest drewniana, kilkakrotnie smarowana carbolineum dla zabicia pasorzytów i zabezpieczenia przed szybkim zepsuciem, t. j. zgniciem, czy też próchnieniem.

W miejscowościach, gdzie łatwo nabyć można większą ilość mialu torfowego, stanowczo, podług mnie, najpraktyczniejszą jest podłoga betonowa, która da się zawsze najczystiej utrzymać, gdyż nawet w razie zarazy można ją zlać jakimś odkażającym środkiem i wyszorować; aby zaś nie ziębiła kurom nóg i nie wywoływała reumatyzmu, co się zdarza, trzeba ją w lecie wysypywać warstwą mialu torfowego, w braku zaś jego — piaskiem.

W lecie kury mało w kurniku przesiadują, krzywdy im więc taka podłoga nie robi, a zimową porą okazuje się więcej, niż praktyczna, gdyż zaściełamy ją na pół metra wysoko ciepłym nawozem końskim, który z jednej strony niszczy zarazki, z drugiej — daje nieocenione o tej porze ciepło. Górną warstwę tego nawozu co parę dni zmieniamy, lub dla czystości przysypujemy sieczką. Piece w kurnikach — to rzecz bardzo zdradliwa: kury w nocy rozdelikacają się i łatwo zaziębiają, a nawet stają się bardzo mało odporne na zarazy. Rozgrzebując ciepły nawóz, mają zupełnie dostateczną temperaturę, nawet w najsroźsze mrozy. W tym roku gdy na dworze temperatura dochodziła do -35°C. , woda w korytkach, ustawionych na nawozie, nawet nie zamarzła. Podczas tych największych mrozów zabierałam im grzędę zupełnie, tak, że noce również spędzały, siedząc na tym nawozie.

A. D.

(d n.)



Zewnetrzny widok kurnika

SZTUKA GOTOWANIA

Łakomstwo — nie to łakomstwo, karane przez katechizm, które właściwie powinno się nazywać cheiwością — lecz łakomstwo, polegające na pociągu do smacznego kąska — drzemie w głębi duszy każdego, najwstrzemięźliwszego pozornie człowieka. Tylko u nas ludzie wstydzą się do niego przyznać.

Mamy wprawdzie tysiące smakoszy, ba! nawet tysiące obżartuchów (nazwy te należy dokładnie różnicować), lecz nie mamy dotąd w kraju uczonych, którzyby, jak nasz rodak Edward Pomian Pożerski, członek Instytutu Pasteura, profesor Instytutu higieny spożywczej — podnieśli gastronomję — a raczej gastrotechnikę — do godności nie tylko nauki, lecz nawet sztuki.

Gotowanie jest sztuką i sztuką piękną, łatwiej zrozumiałą i odczuwaną od innych sztuk, działających na zmysły nasze. Malarstwo i rzeźba działają na zmysł wzroku, muzyka działa na zmysł słuchu, obie te sztuki działają uszlachetniająco na duszę ludzką. Gotowanie działa na naszą psychikę, kształcąc zmysły smaku, powonienia, a nawet i wzroku. Gotowanie, posunięte do stopnia sztuki, nazwiemy gastronomją.

Jeżeli określimy sztukę, jako to wszystko, co kształci nasze zmysły, co je usubtelnia, to człowieka o zmysłach bardziej wydelikacowanych, bardziej wysubtelnionych, tłumaczącego swe wrażenia, wprowadzającego je w czyn w sposób bardziej doskonały, niż jego otoczenie — nazwiemy artystą. Malarz nauczył się patrzeć, zanim farby ożyły na jego płótnach; muzyk długo musiał słuchać, zanim zabrzmiały jego czarodziejskie akordy — kucharz-artysta musi posiadać talent wrodzony i kształcić go długimi latami pracy, gdyż, u nas przynajmniej, nie ma do pomocy ani akademji, ani profesorów, ani nawet wzorów, godnych naśladowania.

Gastronomja nie miała właściwie dotąd ściśle naukowej podstawy — nie brano jej na serjo, nie analizowano. Od wieków kobiety zajmowały się kuchnią, korzystając z latami nabytego doświadczenia swoich matek i babek. Nie było w niej wielkich zmian zasadniczych. Ponieważ przeważnie zapomocą tylko bezmyślnego naśladowania uczono się przygotowywać pokarmy, nauka kucharza-artysty trwała nieraz dłużej, niż nauka przyszłego lekarza, astronoma, malarza lub architekta — i po najdłuższej nauce tylko nieliczni, obdarzeni nadzwyczajnie wyrobionym zmysłem smaku, dochodzili do artyzmu; inni pozostawali zwykłymi rzemieślnikami.

Zasługą profesora Pomiana jest, że wszystkie tak liczne prace i zabiegi kucharskie sprowadził do kilku podstawowych zasad z dziedziny fizyki i chemji stosowanej. Te zasady można zgrupować, podzielić i utworzyć z nich podstawę naukową gastro-

nomji. Proponuje on nauce tej dać nazwę gastrotechniki. Nazwa ta w Paryżu przyjęła się odrazu i gastrotechnikę zaczęto wykładać w szeregu zakładów naukowych.

Pierwsze zasady odrazu dały się ustalić, lecz przy dalszym rozwoju nauki wszystkiego trzeba było szukać, robić liczne eksperymenty. Należało przestudjować fizyczne i chemiczne zmiany, jakim podlegają produkty wskutek gotowania. Profesor się przyznaje, że zaczął od studjowania fizyko-chemicznego sosów i rok cały poświęcił tej pracy. Podstawowym zadaniem gastrotechniki jest uproszczenie nauki gotowania, ułatwienie jej, zsyntetyzowanie.

Ażeby zrozumieć, co się dzieje z produktami w ciągu ich gotowania, należy je przedewszystkiem rozklasyfikować, podzielić na części składowe, które są:

- Albuminaty (mięso, jaja, ryby i t. p.);
- węglowodany (krochmal, cukier i t. p.);
- tluszcze roślinne i zwierzęce;
- sole mineralne.

Pod wpływem gorąca białko się ścina, krochmal z wodą staje się kłajstrem, tłuszcze się topią, cukier się karmelizuje. Jednej lekcji wystarczy, aby przekonać o tem uczniów najmniej uzdolnionych. Można więc wszystkie czynności kulinarne sprowadzić do sześciu podstaw zasadniczych:

- 1) Gotowanie (w płynie przy 100° C.);
- 2) smażenie (w tłuszczu przy 150 do 200°);
- 3) pieczenie (w suchem gorącu);
- 4) duszenie (gotowanie na parze);
- 5) zgęszczanie zapomocą krochmalu (zaprażka);
- 6) zgęszczanie zapomocą jaj (emulsja tłuszczu).

Wykonanie każdego, chociażby najbardziej skomplikowanego i wykwintnego dania — jest zawsze stosowaniem jednej z tych czynności, jedną ze zmian fizycznych czy chemicznych, jakie zachodzą w produktach, przez nas przygotowanych.

Dalej tłumaczy profesor Pomian te sześć podstawowych czynności w sposób następujący:

1) Gotowanie produktu w wodzie zmienia jego skład chemiczny i fizyczny przez trzymanie w wodzie, doprowadzonej mniej lub więcej prędko do zagotowania. W letniej wodzie powierzchnia białkowa produktu się nie ścina i pomiędzy otaczającą go wodą i produktem zachodzi wymiana składników. Jeśli chcemy w produkcie zachować wszystkie jego soki, zanurzamy go we wrzątku: białko na powierzchni momentalnie się ścina i przeszkadza wypłynięciu tych soków.

2) Smażenie odbywa się w tłuszczu, nagrzanym do bardzo wysokiej temperatury. Powierzchnia smażonego przedmiotu momentalnie się karmelizuje i wszystkie soki pozostają wewnątrz.

3) Pieczenie jest czynnością podobną, wykonaną na sucho w wysokiej temperaturze pieca. Ma na celu zachowanie wszystkich soków, przez momental-

ne ścięcie białka i utworzenie powłoki nieprzepuszczalnej.

4) Duszenie na parze w naczyniu zakrytem odbywa się przeważnie po uprzednim zrumienieniu na tłuszczu. Przy duszeniu, trwającym nieraz godzinami, produkt wypuszcza część swoich soków, które się nie marnują, gdyż przechodzą do sosu. Sam produkt staje się miękki, kruchy i przez to łatwo strawny.

5) Typowym zgęszczaniem zapomocą krochmalu jest przyrządzanie zwykłej zasmażki lub zaprawki, składającej się z zasmażonej w tłuszczu mąki, rozprowadzonej płynem.

6) Zgęszczanie zapomocą żółtka nazywamy polipolice zaciąganiem i używamy go do wykwinniejszych zup, sosów, lodów. Żółtko w połączeniu z tłuszczami rozkłada — emulsjonuje — te tłuszcze, co jest czynnością podstawową przy robieniu sosów majonezowych i maślanych.

Uczniowie profesora Pomiana po czterech lekcjach teoretycznych są, podobno, w stanie samodzielnie wykonać nie mniej, niż 250 dań, przy których stosują nabyte wiadomości chemiczne i fizyczne i wszystkie wyżej wymienione sześć sposobów traktowania produktów.

Osoby, chcące myśleć i zastanawiać się nad tem, co robią — a kobiety polskie nie tylko dorównują francuzkom pod względem inteligencji, lecz nieraz je nawet przewyższają — powinny łatwo przyswoić te same wiadomości i, uzbrojone jedynie w książkę z dobrymi przepisami, same robić dalsze próby. Ich zajęcia praktyczne, prowadzone z głębokim wmyśleniem się w każdą czynność, mogą je doprowadzić do wysokiego arcyzmu — celu ostatecznego w każdym, z miłością i oddaniem uprawianym, fachu.

Pani Elżbieta.



KARTOFLE Z JAJAMI.

Dziesięć równych, dużych, okrągłych kartofli ugotować w łupinkach, obrać, dopóki gorące, ostudzić. Pół łyżki masła zasmażyć z łyżką mąki, rozprowadzić półtora szklanką ugotowanego i ostudzonego mleka, zagotować razem, osolić do smaku. Sos ten powinien być bardzo gęsty. Ściąć kartofle zgóry i zdołu, aby można było je postawić mocno. Łyżeczką do drażenia wyjąć środki, pozostawiając ścianki grube na palec. Osolić lekko wewnątrz. Do każdego kartofla wbić nieduże jajko, znów osolić.

Napełnić beszamelowym sosem, posypać bardzo grubo ostrym serem. Ustawić kartofle na wysmarowanej masłem brytfance, lub na ogniotrwałym półmisku i wstawić na kwadrans w dobrze gorący piec.

GRZANKI Z CYNADERKAMI.

Dwie cynaderki cielece wraz z okalającym je tłuszczem udusić w rondelku z łyżeczką masła, paru ziarnkami pieprzu i ziela i kawałkiem listka. Osolić dopiero wtedy, gdy są zupełnie miękkie. Ostudzić. Do tłuszczu, pozostałego w rondelku, wsypać garstkę drobno pokrajanych pieczarek (5—10 deka), krótko zasmażyć razem. Gdy pieczarki zmiękną, dosypać łyżkę mąki, dolać filiżankę rosołu lub wody, zagotować razem. Osolić, popieprzyć, zakończyć sos paru łyżkami śmietany. Cynaderki pokrajać ostrym nożem w cienutkie płatki. Z czerstwej bułki ukrajać 10 grzanek, grubych na trzy centymetry, ostrożnie, aby ich nie połamać, wyźłobić w nich do połowy grubości wgłębienie. Zrumienić grzanki z obu stron na maśle. Ułożyć na nich cynaderki, dzieląc je porównie. Pokryć pieczarkowym sosem, posypać grubo ostrym serem. Wstawić na pięć minut w piec. Gdy ser się roztopi, bardzo gorące podawać.

WĄTRÓBKA CIELECA PO WENECKU.

Dwie spore cebule pokrajać w plasterki i uduścić, nie rumieniąc, w łyżce masła. Czterdzieści deka wątróbki cielecej wymoczyć w zimnej wodzie, ściągnąć z niej błonkę, jeszcze dobrze wypłókać i wcisnąć. Pokrajać w cienuchne płatki, najwyżej półcentymetrowe. Zrumienić je bardzo prędko na maśle (dwie do trzech minut smażenia), dodać cebule i dusić znowu tylko dwie minuty. Wsypać garstkę zielonej pietruszki, wcisnąć sok z całej cytryny. Podawać natychmiast, bardzo gorące, w tem samym naczyniu, w którym się dusiła. Stojąc dłuższy czas — stwardnieje. Oddzielnie podać purée kartoflane lub ryż, ugotowany na sypko.

OZORKI CIELECE W POTRAWCE.

Na sześć osób ugotować trzy ozorki cielece wraz z podgardlami, w niedużej ilości wody, z włoszczyzną i korzeniami. Skórkę z ozorków ściągnąć, pokrajać każdy z nich wzdłuż na cztery części. Zrumienić łyżkę mąki z łyżką masła, rozprowadzić ostudzonym rosołem z ozorków, osolić do smaku, dodać kilka kropel karmelu dla koloru. Włożyć łyżkę drobno krajanych korniszonów, tyleż kaparów, łyżkę octu, zagotować sos. Kto lubi, może dodać łyżeczkę cukru. Włożyć w sos ozorki i zagrać razem, nie gotując jednak więcej. Na półmisku ułożyć rant z kaszy jęczmiennej lub perłowej, ugotowanej na sypko z masłem lub słoniną. W środek włożyć potrawkę z ozorków. Częścią sosu polać kaszę i podawać gorące.

BUDYŃ ZE SZPARAGÓW.

Pół kilo szparagów oczyścić starannie z włókien, związać w pęczek, zblanżerować przez dwie minuty w osolonym wrzątku. Odcedzić, ostudzić, pokrajać w kostkę. Z dużej łyżki masła, dwóch łyżek maki i trzech szklanek mleka zrobić gęsty sos beszamelowy. Gdy nieco przestygnie, wbić w to trzy całe jaja, dodać szparagi surowe (tylko zblanżerowane), osolić do smaku, dodać łyżeczkę cukru i sporą łyżkę sklarowanego masła. Wymieszać wszystko razem, przełożyć do formy budyniowej, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Nakryć szczelnie pokrywą i gotować całe dwie godziny na parze. Przed podaniem wyłożyć na półmisek i polać masłem, zrumienionem z bułeczką. Chcąc ten budyń podać bardziej elegancko, zrobić doń sos rakowy, a wkoło obłożyć skorupkami rakowemi, nadziewanemi gotowaną cielęciną z bułeczką, masłem, koperkiem i jajkiem.

LEGUMINA WIEDEŃSKA.

Piętnaście deka słodkich oczyszczonych migdałów utrzeć na tarce. Piętnaście deka masła utrzeć na śmietaną, dodać piętnaście deka cukru, utłuczonego z wanilią, trzy żółtka; wciąż ucierać. Nakoniec włożyć migdały i szklankę gęstej, słodkiej śmietanki. Ucierać, aż się utworzy rodzaj kremu, co trwa nieraz dłużej, niż pół godziny. Białka ubić na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie z kremem. Kryształową salaterkę wyłożyć biszkopcikami, na nie ułożyć krem, przykryć biszkopcikami, przycisnąć lekko talerzem, wstawić na noc do lodowni lub piwnicy. Przed podaniem pokryć leguminę kremem, ubitym z kwaterki śmietany z cukrem i wanilią.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Chcąc pozbyć się nieznosnych myszy, trzeba na noc postawić tam gdzie one grasują — dwa spodeczki: jeden z wodą, drugi z mialko sproszkowanym gi-

psem, przysypanym mąką pszenną. Myszy razem z ulubioną mąką zjedzą gips, po którym pragnienie będą gasić wodą. Gips, zalany wodą, jest bardzo szkodliwy i stanowi dla myszy gwałtowną truciznę.

* * *

Chcąc wystraszyć szczury z miejsc, gdzie się znajdują, trzeba porozkładać w nich ziele, zwane „psi język” (cynnglossum). Środek ten jest niezawodny, ale tylko w lecie, gdyż roślina powinna być świeżo z ziemi wyrwana z korzeniami; sucha, bowiem, traci swą niechęć, mdłą, odurzającą woń, od której szczury uciekają.

KORESPONDENCJE

Pani W. S. — Cieszyn. — Niech Sz. Pani napisze do Towarzystwa „Żegluga Polska”; Warszawa, ul. Nowy Świat 35 — a oni przysła prospekt szczegółowy. Wycieczki napewno będą urządzane. Daty, miejsca i ceny znajdzie Pani w prospekcie.

Pani H. D. — Miechów. — Kawalki aksamitu, który ma być odświeżony, przyfastrygować gęsto i równo na kawale starego płótna lub perkalu, wszyć go następnie w krosna, lub wyprzyć na przetaku; wykroić perkal z pod aksamitu i trzymać nad stosownej wielkości naczyniem z ukropem, barwą do wody. Gdy aksamit nasiąknie całkowicie wilgocią z pary, wziąć gorące żelazo i prasować po lewej stronie, ciągle trzymając go nad ukropem, który powinien stale parować. Najdalej po dziesięciu minutach aksamit będzie, jak nowy. Na sucho czyści się każdy aksamit krótko ściętą skórą od słoniny, nacierając go miejsce przy miejscu. Jedwab surowy najlepiej prać w otrębach pszennych, suszyć w cieniu, a skoro obcieknie z wody, ułożyć gładko między dwoma prześcieradłami. Gdy przeschnie do połowy, maglować lub prasować przez płótno.

Pani Z. E. — Kraśniewice. — Wzór na obrus kosztować będzie 2 zł. 50 gr., na serwetkę 1 zł. 50 gr. plus koszt pocztowy. O ile Sz. Pani zamawiać będzie desenie, prosimy o dokładne wymiary. Spis wszystkich zeszytów „Modnych robót” znajdzie Sz. Pani w „Bluszczu” Nr. 15 z 13-go kwietnia b. r.

Pani H. B. — Jarosław. — Rzeczywiście, sytuacja tragiczna, ale oddalenie tak wielkie, że wątpię, czy na tę odległość da się coś poradzić w Warszawie. Może Sz. Pani zwróci się do „Kola Pracy Kobiet”. Warszawa, ul. Kredytowa 16, kierując list do przewodniczącej, Pani Klawerowej. Sądzę, że ona znajdzie ratunek na to straszne położenie.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GĄSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY CZORKI „VARICOL”
HEMOROIDALNE.
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A. GĄSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

z kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktor: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75,
Druk. Zafi. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 6, tel. 244-16.

Nasza Mównica

Reorganizujmy nasze ogniska domowe.

I.

Na czoło wszystkich utrapień, jakich los nie poskąpił kobiecie z racji jej płci, wysuwa się sprawa zarządu domem i jego głównej sprężyny: służby.

Każda z pań wie doskonale, że to jest sprawa życiowa najważniejsza, nie pomoże udawane lekceważenie jej, rolę drugorzędną może odgrywać jedynie w wypadku bezdzielnosci, gdy mieszka się powiedzmy w pensjonacie, lub stołuje się na mieście.

Z chwilą przyjścia na świat dziecka, musi być dom, a więc i służąca. Od tego momentu dla kobiety zaczyna się borykanie z niechętnie, naogół nawet wrogo, dla siebie usposobionym i co gorsza dyletanckim elementem.

Poziom naszej służby domowej jest tak niski, blizkie współżycie, na jakie obie strony są skazane, tak przykre i dla inteligentnej kobiety nużące, że doprawdy należałoby pomyśleć, czy nie da się czego zmienić względnie zaradzić trudnym warunkom. Tembardziej, że służba nasza jest coraz to kosztowniejsza, za to bynajmniej nie lepsza.

Przedewszystkiem przypatrzmy się naszym warunkom. Kobiety dzielą się na dwie kategorie; pracujące w domu i pracujące po za domem. Te ostatnie bez porównania szczęśliwsze od pierwszych żyją w poczuciu niezależności materialnej i pracują efektywnie, z widocznymi rezultatami w postaci awansu, pochwał, uznania czy sławy, jest to życie barwne, posiadające ludzkie tempo i ludzkie aspiracje — druga kategoria to nieznane nikomu szare pracownice, wykonawczynie nieustannej, monotonnej niekończącej się nigdy pracy, na której ufundowana jest rodzina.

Te kobiety całkowicie wchłania i pochłania dom, konsumuje je bez reszty, odgranicza od życia społecznego, czem się tłumaczy obojętność kobiety na zjawiska życia społecznego, jej mały liczebnie udział w tem życiu, a tem samem zepchnięcie kobiety do roli kopciuszka i niedopuszczanie oczywiście zupełnie zrozumiałe na stanowiska kierownicze. Jednym słowem ogólnie biorąc: dom konsumuje kobietę. Bo tylko nieliczne jednostki kobiece w stosunku do pięćdziesięcioprocentowego ogółu całej ludności kobiecej zajmują miejsca równe mężczyźni i obok mężczyzn.

Resztę kobiet wchłania dom (żeby choć dobrze zorganizowany). Przyjmują one ten istniejący stan rzeczy jako całkiem normalny i nie usiłują go poprawić.

A przecież tak być nie powinno. Bo obok domu,

czyli najbliższych i wyłącznie osobistych interesów, jest wielkie zorganizowane życie społeczne, zagadnienia ogólnoludzkie, problemy etyczne i estetyczne, w których kobieta z tytułu obywatelki i z tytułu wychowawczyni musi brać udział!

Mało tego, kobieta w sprawach tych musi zabierać głos.

Jakże zabierze głos, gdy nie zna ich prawie? Kobieta musi wyjść z czterech ciasnych ścian, musi sobie życie zorganizować. Musi ułatwić sobie wykonywanie swych normalnych obowiązków, wszakże nie ze szkodą dla swoich dóbr duchowych.

Wykonywanie kobiecych obowiązków nie może zagłuszać ludzkich potrzeb, szczególnie w dobie dzisiejszej, gdy kobieta zdobywszy równouprawnienie, może z niego korzystać, ale wszakże musi i chcieć z niego korzystać... eóż komu z otwartych drzwi, jeśli uparcie niechce niemi wyjść.

Kobieta żyje jednostronnie, co jest jej niepowetowaną szkodą, życie współczesne, stawiające przed nią coraz to nowe zagadnienia natury materialnej i moralnej, zmusza do zastanowienia się, czy nie dałoby się tak ułożyć życia, aby nie było pokrzywdzonych i uprzywilejowanych, aby, obierając sobie za zawód zajęcia domowe nie była pokrzywdzona w swoich ludzkich potrzebach i aspiracjach.

Dwa są sposoby radykalne: znieść jako zupełnie niewspółczesne małe gospodarstwo indywidualne, jeśli zaś mamy je utrzymać dalej, zakładać szkoły gospodarstwa domowego, gdziebyśmy same sobie szkoliły całe zastępy dotąd zupełnie niewykwalifikowanej, zaludniającej nasz dom służby.

Projekt drugi sięga w daleką i daleko patrzącą przyszłość. Jest to wielka centrala żywnościowa, prowadzona przez komitet obywatelski nie dla zysku, lecz dla świetnie pojętego interesu ogółu, centrala prowadzona przez siły pierwszorzędne, fachowe, mające na czele higienistów, lekarzy, dbałych o znakomite żywienie ludności. Centrala taka, obejmująca jakiś okręg, nie licząca na zyski, lecz na zdrowie obywateli, preparując pożywienie w wielkich ilościach, kalkulowałaby je w cenie bez porównania niższej, niż nasz koszt w małym gospodarstwie indywidualnym.

Podkreślam, że taka instytucja musiałaby być społeczna, mająca na celu dobro ogółu i służąca ogółowi obywateli.

Gdyby wydawała tylko obiady, już rozwiązałaby problem domu na korzyść kobiety, bo wiadomo przecie, że przyrządzić ranne śniadanie i kolację, każdy bez wysiłku potrafi, ugotowanie jednak

obiadu pochłania parę godzin czasu i zachodu. Żywnie nie się zaś w dzisiejszych warunkach w restauracji jest bardzo kosztowne i rujnujące zdrowie.

Projekt ten powstał już we Francji, wnieśli go mężczyźni, którzy orzekli, że nie mogą pozwolić, aby życie i uroda ich żon marniała przy płycie kuchennej.

Czy projekt ten doszedł do skutku — nie wiem, sądzą jednak, że prędzej, czy później, będzie zrealizowany, choćby tylko dla tego, że coraz większa ilość kobiet garnie się do pracy zarobkowej, tem samem pustoszeją płyty kuchenne, a dziewczęta wiejskie coraz niechętniej godzą się do służby, uważając ją za niewolę. Stoimy więc wobec problemu, który czeka swego rozwiązania.

Centrala żywnościowa zatrudniałaby *fachowo* wiele sił kobiecych, co jest faktem godnym podkreślenia.

Gdybyśmy posiadali takie centrale w mieście (dużem i małym), potrzeba służącej ograniczyłaby się jedynie do przychodniej. Reforma w tym sensie jest nieunikniona i nie ominie nas z pewnością. Traktujmy ją, jako naszą zdobycz, dążmy do najrychlejszego przejścia z projektu w stan rzeczywistości.

Innym problemem, ułatwiającym zarząd domem jest zakładanie kursów gospodarstwa domowego wszędzie, w każdej wsi, osadzie, letnisku, mieście i miasteczku. Wszędzie, gdzie są młode dziewczęta i choć garstka kobiet dobrej woli (mam na myśli przede wszystkim panie, zajmujące się pracą społeczną, powinien to być jeden z głównych punktów ich programu).

Kobiety z niższych warstw społecznych absolutnie nie nie umieją. Nikt się nimi nie zajmuje i niczego ich nie uczy. Poziom ich ognisk domowych jest poniżej wszelkiego pojęcia. Nie umieją gotować, przyrządzają sobie i swej rodzinie napół ugotowane potrawy z kaszy lub mąki, gdy i tego im się nie chce, kupują drogą i niezdrową wędlinę, to jest podstawowy pokarm. Tak oczywiście odżywiają swe dzieci, a te całkiem małe, żeby nie krzyczały i nie przeszkadzały w pracy poją wódką i nawarem maku. Te same kobiety są potem w naszych domach na służbie: gotują, sprzątają, niańczą nasze dzieci.

Groza wieje od tych obrazów. Musimy naprawić krzywdę nieopiekowania się temi zaniedbanymi i ciemnymi siostrami i jednocześnie działać na własną korzyść. Wychowując i oświecając je wychowamy sobie pomoc, która nam z kolei pozwoli wy dostać się z jarzma obowiązków domowych.

Szkoły, czyli kursy takie nie potrzebują osobnych budynków ani specjalnych przygotowań. Wystarczy na każdym kursie oświatowym, przy świetlicy czy szkole powszechnej, jednej lub dwóch osób dobrej woli i małej płytki kuchennej, a choćby i maszynki, gdy się przejdzie z kursu teoretycznego do demonstracji, jak długo należy gotować i jak przyrządzać potrawy. Dziewczęta garną się bardzo na takie wykłady i są pilnymi i wdzięcznymi słuchaczkami.

Kurs powinien obejmować podstawowe wiadomości o składzie potraw, znajomości ich przyrządzania, oszczędności, i umiejętności wyzyskania każdego

produktu, pozatem podstawowe wiadomości o czystości sprzętów, czystości osobistej, oraz umiejętności takiego zorganizowania zajęć codziennych, aby na wszystko umiały znaleźć czas. Do tego należałoby dodać cerowanie pończoch, oraz prucie, cerowanie i przetwarzanie ręczne starego ubrania.

I tego dziewczęta i kobiety nie umieją wcale i za tę naukę są wdzięczne.

Praca przy domu, jak każda inna wymaga fachowości. Naogół utarło się błędne mniemanie, że kobieta pracę domową potrafi instynktem wykonać. Oczywiście, że wykona ją, gdy musi, ale jak... na to mamy odpowiedź w domach robotników, po wiejskich chałupach no i w naszych własnych domach. Musimy więc wszystkie jak jesteśmy naprawić to zło. Rządźmy sami we własnym kraju i będzie nam tak, jak sobie wypracujemy. Przed kobietą otworzyły się olbrzymie horyzonty. Wszystko ma do zdobycia, wszystkiego może nauczyć siebie i swoje ciemne dotąd współobywatelki.

Ich sprawy i nasze sprawy zazębiają się jedne o drugie, tak, że obu stronom ułatwi życie, fachowość z jednej strony, a spełnienie obowiązku z drugiej.

A że jest to związane z naszą korzyścią osobistą nie uchylimy się od niego — życie nie stoi ani chwili, kto mu nie nadąży zostanie wtyle, bezradny i osamotniony.

mar—mor.

O pracy zarobkowej mężatek (w odpowiedzi p. Mal...ckiej).

Postęp tworzą bojownicy nowych idei, zarówno jak i konserwatyści, broniący przestarzałych form, bo tylko wypadkowa tych dwóch, ścierających się sił, staje się w historii rzeczywistością.

Zasługą bojowników jest wypowiedzenie walki temu, co, będąc kiedyś dobrem, w danej chwili jest już złem; zasługą reakcjonistów jest, że powstrzymują naturalny, młodzieńczy rozpęd tych pierwszych, broniąc historję od przeskoków, które mogą wywołać niepożądany nawrót do przeszłości, lub zamieszania w teraźniejszości.

I jedni i drudzy dla postępu są pożyteczni: i jedni i drudzy działają zgodnie z prawem akcji i reakcji, siły i oporu. I jedni i drudzy są zasłużeni. Tylko... dla potomnych, żyjących już w atmosferze, oczyszczonej z pleśni przestarzałych dziwolągów, bliższymi są i będą zawsze zwycięscy reformatorzy.

Ale ci, którzy „starają się cofać, cofać „za wszelką cenę“, nie koniecznie zasługują na drwiny, bo może... ta „wszelka cena“ jest ceną ich serca, ich przekonań, ich sumienia...

Czy należę do współczesności, czy do minionych czasów z przed lat 50-ciu — nie zastanawiam się. Pełnemi rękoma czerpałam z bohatersko zdobytych przez pokolenia całe praw, które z kobiety uczyniły człowieka, mającego prawo i obowiązek pełni życia. Jeżeli chciałabym coś zmienić, czemuś zaradzić, to nie dlatego, by cofać, byle cofać — a dlatego,

że w obecnych czasach zarysowują się już wyraźnie braki i niedobory ostatnich reform, które to braki trzeba już czymś nowem (może — starem?) zapłacić.

Prawo do pracy musi mieć każdy obywatel; prawo do zarobkowania nie może być niczem ograniczone — tak dla mężczyzny, jak i kobiety, tak dla panny, jak i mężatki. Usuwanie na Śląsku nauczycielek z zajmowanych posad z chwilą zamążpójścia jest zamachem na wolność człowieka, jest krzywdą kobiety.

Ale... można mieć prawo do czegoś, czuć jego moc, dającą świadomość wyboru, poczucie swobody w poczynaniach i pewność siebie człowieka wolnego — a jednak fizycznie z tego prawa nie korzystać. Kobieta-matka, przez to, że ma męża i dzieci, nie może być wyzuta z jakichkolwiek uprawnień, gwarantowanych przez Konstytucję; ale, mając prawo być np. nauczycielką, może nią przestać być w imię nowych obowiązków, jakich dobrowolnie (no, dziś to często „niechcący“) się podejmuje.

Pani Mal...cka słusznie nazywa to zawodem, do którego, nota bene, mało kobiet jest przygotowanych. Tak! być gospodynią domu i matką — to jest zawód, i kobiety, wychodzące zamąż — lub, ściślej: mające zostać matkami — powinny o tem wiedzieć i wyciągnąć z tego należyte konsekwencje. Z chwilą, gdy do tych obowiązków tak się odniosa, rozumieją, że można uprawiać jeden zawód, ale dwa (praca w domu i np. w biurze) — jest to ponad siły przeciętnej zdrowej jednostki, lub też tylko ponad możliwość wypełnienia obowiązków z korzyścią, zadowoleniem i z poczuciem, że się nic nie zaniedbało. I zrozumienie tego — to nie krok wstecz, a krok naprzód w rozwoju t. zw. sprawy kobiecej.

Jakie mężatki pracują dziś zawodowo? Ogólnie podzielić je można na trzy grupy: 1) te, które są zmuszone niedostatkiem (żony robotników, urzędników), więc wybierają zło mniejsze — t. j. pozostawienie dzieci i domu na opiece „sąsiadki“, lub płatnej służby — od zła większego, t. j. głodu i nędzy rodziny; 2) te, które wolą — tak, wolą! — pracę biurową, czy inną, od domowej; bo wcale nie jest „łatwiej i milej dysponować służącej i bawić się z dziećmi“, a gospodyni domu nietylko wtedy pracuje, „gdy jest czas i ochota“, jak sądzi p. Mal...cka; 3) te, które chcą się uniezależnić od pensji męża, nie dość uposażonego, by wystarczyć na przysłowiowe jedwabne pończochy. Być może, że jeszcze inne motywy, prócz tych trzech, skłaniają mężatki do pracy zarobkowej; ale te trzy są realne, zgodne z obserwacją życiową i niczem zbić się nie dadzą.

Przyjrzyjmy się teraz dwu sprawom: jak wygląda praca domowa tych pań i jak wygląda ich praca zawodowa? (zaznaczam, że nie mówię o mężatkach bezdzietnych).

P. Mal...cka twierdzi, że gospodarstwo posłanek, uczonych i t. d. nie jest w nieładzie i nie są one złemi matkami. Tak, rzeczywiście, przy silnem zdrowiu, wybitnej zdolności organizacyjnej, doborze służby, lub też właśnie przy pomocy kogoś z rodziny — dom tych pań nie musi być gorzej pro-

wadzony, a może być nawet prowadzony o wiele lepiej, niż dom siedzącej w domu, ale chorej, czy leniwej, czy głupiej istoty. Ale to tylko te zdolności, wyżej wymienione, gwarantują ład i porządek. A te zdolności, scentralizowane w jednej osobie, są już czymś nieprzeciętnem, my zaś w swoich dowodach i reformach musimy się liczyć właśnie z przeciętnością.

Przeciętnie... dom pań, pracujących zawodowo, musi być zaniedbany, dzieci muszą być źle wychowane, lub choćby tylko nie tak, jak ich rodzice sobie życzą. Powodem jest albo stan zdrowia, które na jeden zawód wystarczy, na dwa — nie, albo przemęczenie, albo brak umiejętności zarządzenia i t. d. Gospodarstwo kuleje. Gospodyni zaś?... poczucie jej nie jest radosne, bo najgłębszą radość daje poczucie spełnienia obowiązku; zdrowie wcześniej czy później marnieje, życie staje się smutną koniecznością. Jeżeli zaś należy do „mało przejmujących się“, to, wróciwszy z zajęcia, kładzie się na kanapie, czyta, odpoczywa, jak każdy mężczyzna... jej poczucie jest lepsze.

Mnie się zdaje, że nikt, znający życie, nie może serjo twierdzić, że naogół, biorąc pod uwagę jednostki przeciętne, dom nie traci na zarobkowej pracy gospodyni. Tylko... że czasem — jest to koniecznością, powtarzam. Ale z tem już liczyć się trzeba, jako ze złem koniecznem, które jednak przez to, że konieczne, nie przestaje być złem.

Przy dzisiejszych wymaganiach kulturalnych, dotyczących higieny, diety, estetyki, a przedewszystkiem pedagogiki — dla kobiety, prowadzącej dom, jest mało godzin w dniu na pracę, a do odpoczynku i rozrywki ma chyba również prawo?...

A teraz — drugie pytanie: jak wygląda praca zarobkowa mężatki (ciagle myślę o tych, co mają dzieci)? Tu przytoczę kilka cyfr, jako że system statystyczny jest najbardziej miarodajny i przekonujący. Dane te zebrałam w jednej ze szkół powszechnych, liczącej 19 osób personelu, z czego 7 pań zamężnych (2 bezdzietne). Najpierw sprawa opuszczania lekcyj:

W roku szkolnym 27-28 (217 dni szkolnych)

1 panna opuściła	2 dni
1 kawaler opuścił	8 dni
1 nauczycielka-mężatka	20,1 dni
1 żonaty	2,4 dni

W rozmowie, jakiej mi udzielił uprzejmie p. kierownik tej szkoły, dowiedziałam się, że u mężatek najczęstszym powodem opuszczania lekcyj jest choroba dziecka lub męża. Na pytanie moje, dotyczące intensywności pracy, dostałam odpowiedź, że najintensywniej pracują mężatki bezdzietne; panny opuszczają się w pracy szczególnie w okresie karnawału i na wiosnę; mężatki, mające dzieci, zaniedbują się w pracy wogóle podczas domowych niepowodzeń, które widoczne są wprost w zachowaniu i „po minie“.

Cyfry i wiadomości powyższe dotyczą jednej szkoły; ciekawem jednak byłoby zestawienie statystyczne wielu szkół, na podstawie sprawozdań

rocznych w inspektoratach szkolnych, albo i zestawienia ogólniejsze, dotyczące wszelkich zawodów.

Mnie mój „wywiad“ utwierdził w przekonaniu i pozostaje wrogiem (ha, trudno! rzekło się to słowo) pracy zawodowej matek; nie wiem, czy p. Mal...cką zachwieję w przekonaniach...

W jednym zgadzam się z p. Mal...cką bez zastrzeżeń: **praca domowa kobiet powinna być przez nie traktowana, jako zawód**, z wszelkimi konsekwencjami (fachowe przygotowanie, oddanie się mu rozumne i niepołowiczne). Dopóki jasno nie zdamy sobie z tego sprawy, dotąd — zarówno dziś, jak lat temu 50 — grozić będzie „upadek rodziny“. Tylko, że dziś są inne powody obawy, a wówczas inne były.

Jeżeli tylko praca zawodowa ma kobietę-matkę ratować od katastrofy wrazie śmierci, czy kalectwa męża — to jest źle. Radziłam asekurację (wcale nie „mimochodem“), radziłam zajęcie w domu, jak lekcje, haft, modniarstwo... bo mi to w danej chwili przyszło na myśl, jako przykład. Słyszę, że utalentowane malarki malują suknie balowe; widuję na wystawach artystyczne hafty; roboty kobiece coraz bardziej zatraćają prawdziwą sztuką... to modniarstwo może mi się nie udało. Ale myślałam, że jeżeli po wojnie wszystkie modniarki i krawcowe rzuciły się do Remingtona, to może teraz... spróbować odwrotnie. Ale to przykład tylko, to właśnie poruszone było „mimochodem“; nie radziłam wcale, by „adwokatka po wyjściu zamąż miała się przerzucić do modniarstwa“, jak mi to imputuje p. Mal...cka.

Na zasadnicze pytanie, rzucone przeze mnie, jest dotychczas jedna odpowiedź, i przez p. Mal...cką potwierdzona: asekuracja. Czy będą jeszcze inne?

Częstochowianka.

W sprawie praktyk religijnych w szkołach (w odpowiedzi Katoliczce z Sandomierza).

W „Naszej Mównicy“ niejednokrotnie była omawiana sprawa praktyk religijnych w szkołach.

Zdaniem mojem kwestja to olbrzymiej wagi wychowawczej, tak, że nie powinno być co do niej najmniejszych wątpliwości.

Zabierając głos w tej sprawie, chcę odpowiedzieć pani na jej aluzję do moralnego wyrobienia nauczycielstwa, oraz krytykę współczesnych metod pedagogicznych.

Zaznacza Pani, że nieodpowiednie zachowanie się dzieci „daje smutne wyobrażenie o metodach pedagogicznych wychowawców szkoły“. Zapomina pani, że dziecko przychodzi do szkoły w 7-ym roku życia. Okres przedszkolny odbyło w domu — pod opieką rodzicielską i tu już zdobyło pierwsze zarodki dobrego lub złego. Jak i czy wogóle rodzice w tym wieku wychowują dzieci — dużo możnaby powiedzieć. Na wsi — to obraz nędzy i rozpaczy. I cóż z dzieckiem zepsutem zrobi idealny nawet nauczyciel? Przy-

zwyczajenie to druga natura człowieka — czy można się wogóle łudzić?

Jestem wierzącą katoliczką - nauczycielką, znam dosyć dobrze metody wychowawcze i zaznaczam, że Pani obrała nieodpowiednie środki do celu, który zasługuje na ogólne uznanie. Bezpodstawna, nieuzasadniona krytyka nauczycielstwa jest z jednej strony dowodem uprzedzenia do tej kategorii ludzi, z drugiej pewnej zapalczywości oraz płytkiego pojmowania religji.

W. P. — woj. wileńskie.

Święto Matki w Krakowie.

Za inicjatywą krakowskiego koła nauczycieli szkół wyższych, które ogłosiło konkurs na wiersz o Matce, i wydało piękną broszurkę z nagrodzonymi i wyróżnionymi utworami (cały 10-tysięczny nakład został wyczerpany w dniu Matki), Kraków święcił podniosłą i rzewną uroczystość.

W sobotę wieczorem po ulicach miasta przeciągały orkiestry młodzieży z lampjonami, przygrywając wszystkim Matkom. W niedzielę rano uroczyste nabożeństwa z odpowiednimi kazaniami rozpoczęły właściwe święto. Potem matki udały się do szkół, gdzie młodzież z gronem nauczycielskiem przygotowała serdeczne poranki: defilada, muzyka, chóralny śpiew, kantaty, deklamacje, przemowy, kwiaty — i łyzy tkliwości i radości jak najcudniejsze brylanty błyszczące we wszystkich oczach. W południe, w teatrze Słowackiego odbyła się uroczysta akademja — widownię zapełniły Matki, poczynając od wojewodziny a kończąc na ubogiej wyrobnicy — program prześlizny i siłami młodzieży wypełniony — zostawił niezatarte wrażenia i w sercach mateczynych — i w duszach młodzieży — i znowu brylantami łez szczęścia opromienił szare dni naszego codziennego znoju.

M. Mossoczorna.

Co radzić (w odpowiedzi p. Mar.-Mil.)

Jedynym zabezpieczeniem człowieka jest posada; aby ją objąć — potrzebne przygotowanie. W tym celu organizują się rozmaite kursy, np. — mleczarskie. Wiem, że odbywają się one często w Liskowie (pow. Kaliski) i trwają nieraz tylko kilka tygodni. Przesłuchanie kursu mleczarskiego zapewnia posadę kierowniczką mleczarni o niezłym wynagrodzeniu. Może pani Mar. Mil. mogłaby ukończyć taki kurs. Bliższych informacji będzie łaskawa udzielić pani Liskowianka, a proboszcz tamtejszy ks. prałat Bliziński, człowiek szlachetny i o wielkiej duszy, mógłby ułatwić wstęp na ten kurs. Potem... może się znajdzie posada.

Wanda z nad Prosną.